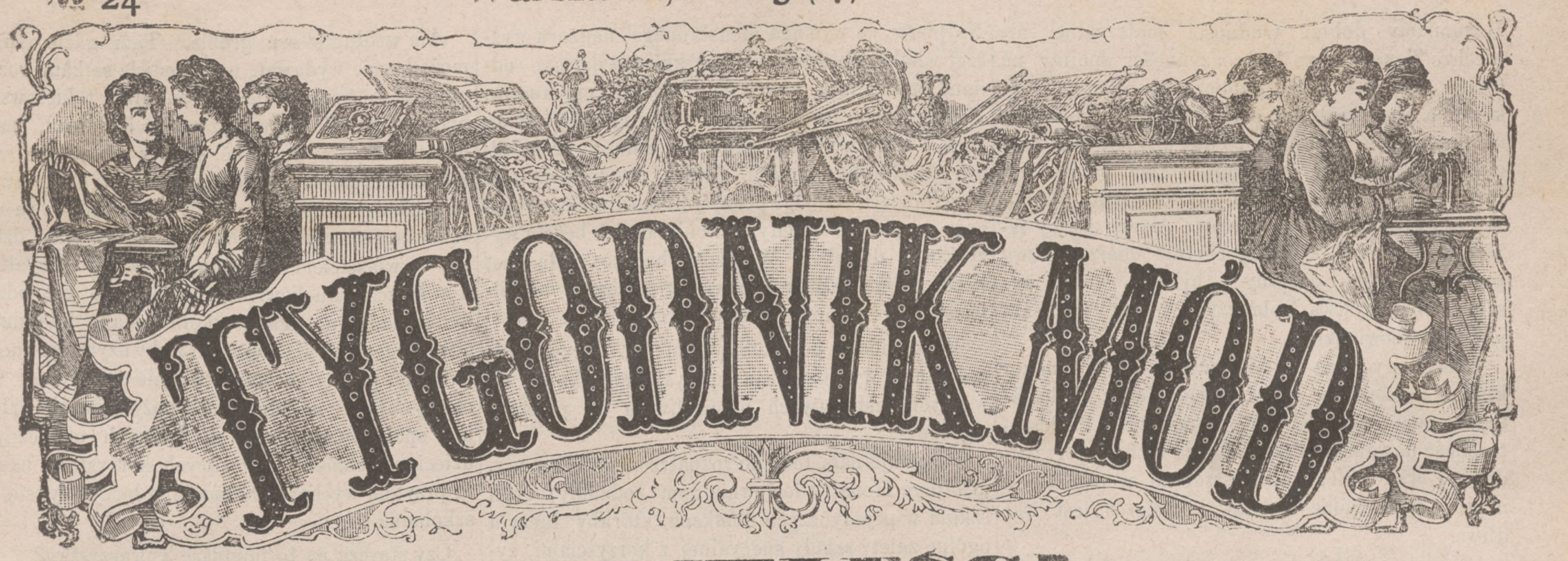
№ 24 Warszawa, dnia 5 (17) Czerwca 1882 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W SPRAWIE BIEDNYCH.

W dzieciach spoczywa nasienie przyszłości sił społecznych i narodowych, to też każde społeczeństwo zwraca najtroskliwszą uwagę na wychowanie przyszłych obywateli kraju.

Jeśli w dzieciach i ich wychowaniu spoczywa przyszłość — więc społeczeństwo ma nietylko prawo, ale i obowiązek wmieszania się czynnego do kształcenia dzieci, i przymuszenia rodziców do posyłania ich do szkoły.

Ale w tej chwili nie idzie nam o te dzieci, które mają naturalnych opiekunów, lecz o te biedne, zaniedbane sieroty, które rodziców postradały i zostały na łasce lub niełasce losu. Cóż ma począć to biedne, niedołężne stworzenie, któż się ma niem zaopiekować, gdy krewnych nie ma? Tylko społeczeństwo, gdyż dzieci te stanowią integralną część jego bytu i rozwoju.

Tą myślą powodowany, założył zmarły opiekun dziatwy Jachowicz, zakład sierot chłopców, jedyny na całe Królestwo. Mieści się on w gmachu klasztornym podominikańskim i liczy obecnie 173 dzieci. Utrzymanie tychże wynosiło w roku 1880 16,200 rubli, przeciętnie na jednego chłopca wypadło dziennie kopiejek 29,10. Koszt ten w roku 1879 wynosił kopiejek 26,84 a w roku 1878 kopiejek 24,62 zaś w roku 1870 jedno dziecko kosztowało kopiejek 14,87 (*). Jak widzimy koszt utrzymania sieroty w ciągu dziesięciu lat niemal się podwoił, a z wzrastającą drożyzną, wydatki będą się stopniowo zwiększać, tak że z czasem suma przeznaczona na utrzymanie zakładu sierot nie starczy na pokrycie bieżących wydatków.

Cały zakład jest utrzymany we wzorowym porządku dzięki zapobiegliwości i ofiarności zacnego p. Juszczyka. Od lat dwunastu dzielny ten człowiek poświęca zbywający mu czas (sam jest krawcem) na opiekę nad tą biedną dziatwą, której jest prawdziwym ojcem. Prócz p. Juszczyka zakład posiada dwóch nauczycieli, dwóch dozorców i pięć siostr miłosierdzia dbających o wewnętrzny, gospodarski zarząd. Po za zakładem jest chłopców na mieście w terminie u majstrów zostających 139 w tej chwili. Stan zakładu względnie do środków pieniężnych, któremi rozporządza jest wcale dobry.

Samo jednak pomieszczenie jest niedostateczne, sypialnie są niskie i przepełnione łóżeczkami, sale do nauki są szczupłe i niezbyt widne, środki naukowe niedostateczne, brak map ściennych, zbiorów przyrodniczych, przyrządów gimnastycznych etc. Przy zakładzie istnieją tylko *dwa* warsztaty, krawiecki pod kierunkiem p. Juszczyka (12 chłopców) i szewcki pod kierunkiem p. Hiszpańskiego (12 chłopców). Na znaczną liczbę chłopców (173) dwa te warsztaty są absolutnie niedostateczne i posiadają tę kardynalną wadę, że chłopcy z tych warsztatów wychodzą tylko jako terminatorzy i muszą na mieście kończyć zaczętą naukę, zamiast w zakładzie jak to się wszędzie zagranicą praktykuje.

Z każdym rokiem liczba sierot się wzmaga, tymczasem jak się dowiadujemy, Towarzystwo Dobroczynności chce ograniczyć liczbę dzieci do 120. Jesteśmy przekonani, że odstąpi od tego zamiaru, byłoby to bowiem bardzo smutnem świadectwem pp. radzców, gdyby podobną uchwałę powziął. Zakład taki powinien się rozszerzać, ale nie zmniejszać

(*) P. Eryk Jachowicz był tak łaskaw udzielić nam tych liczb, za co mu niniejszem składamy serdeczne podziękowanie.

Rozumiemy dobrze trudności materyalne, ale niechże Towarzystwo Dobroczynności spojrzy na Osady Rolne — jeśli publiczność chętnie łoży koszt na zepsute dzieci, o ileż łatwiej da się nakłonić do złożenia grosza na biedne sieroty, tylko chęci i energii więcej a przedewszystkiem należy wymienić wyraźne specyalne przeznaczenie funduszu np. z odczytów, koncertów. Sami znamy takich prelegentów, którzyby chętnie ofiarowali swą pracę na sieroty i ochrony — byle inicyatywa wyszła z Towarzystwa Dobroczynności, która zresztą jest jego obowiązkiem.

Zbadawszy rzecz na miejscu widzimy w tym zakładzie następujące wady: przepełnienie, niedostateczne pomieszczenie, brak warsztatów, niedostateczność dawanego wykształcenia fachowego, trudność i brak opieki nad sierotami w mieście — a prócz tego ogólne wychowanie sierot jest wadliwe.

Prawie wszystkie te wady płyną z fałszywego systemu, który istnieje w zakładzie.

Prawda i to, że taki nawet „zakład sierot" jest już postępem w rozwoju idei dobroczynności, że setki tych biedaków mają dach nad głową, chleb i opiekę. Lecz czy to już wszystko?

Zadaniem takich zakładów jest oddanie społeczeństwu ludzi zdrowych na ciele i umyśle, którzyby nie byli ciężarem, lecz sami pracowali na swe utrzymanie z korzyścią dla społeczeństwa.

Czy system naszego zakładu wypełnia to zadanie? Wątpimy.

Nie winimy tu bynajmniej zarządu ani opiekunów, lecz powtarzamy, że jest to wina fałszywego systemu.

Dziecko wychowane w ciasnych izbach, nieoddychające świeżem powietrzem, pozbawione swobody, siedzące w szkole lub warsztacie po kilka godzin z rzędu, zostawione w psychologicznym rozwoju niemal samemu sobie lub jeszcze zgubniejszemu wpływowi zepsutego towarzysza, nie może być zdrowem ani fizycznie ani moralnie. A i to musimy mieć na względzie, że wobec znacznej ilości dzieci w szkole i zakładzie, konieczne zastosowanie wychowania do indywidualności i właściwości dziecka staje się niemożliwem.

Tu mamy do czynienia z fałszywym systemem, który zagranicą wstąpił już na drogę postępu i poprawy, a ci wszyscy, którym los tych biedaków leży na sercu powinni postarać się o tę korzystną zmianę.

O cóż tu bowiem w wychowaniu tych sierot idzie? Oto, aby zakład, ten dom wychowawczy zastąpił o ile możności wychowanie rodzinne, aby te dzieci, które nie z własnej winy są pozbawione opieki rodzicielskiej, znalazły ją w publicznym zakładzie, a opuszczający zakład mieli w ręku chleb chroniący ich od upadku, żebraniny i dający im możność odpłacenia długu wdzięczności społeczeństwu przez własną pracę.

Nie łudzimy się bynajmniej nadzieją, aby najlepszy system mógł zastąpić ojca i matkę, lecz osiągnięcie wychowania chociażby przybliżonego do ogniska domowego, już będzie ulgą dla tych biedaków i umożliwi spełnienie obowiązku istniejącym zakładom.

Od czasu do czasu pojawiały się dawniej w naszych dziennikach rady i wzmianki, o oddawanie sierot pod opiekę rodziny rzemieślnika, gdzieby takie dziecko wychowywało się wraz z dziećmi swego opiekuna, uczyło się rzemiosła i korzystało z dobrodziejstw życia rodzinnego. Podobny system był już praktykowany w Anglii od roku 1870 i nie przyniósł żadnych dodatnich rezultatów. Najpierw, że wymaga nieustannego nadzoru wyższej władzy opiekuńczej, bez którego dziecko oddane pada ofiarą swych najbliższych opiekunów. Następnie bardzo mała ilość dzieci może być w ten sposób wychowywaną, gdyż zamożniejszy rzemieślnik niechętnie dopuści sierotę do towarzystwa swych dzieci, a ubogi pomijając możliwość gorszącego przykładu i biedy, z konieczności będzie wyzyskiwać dziecko. Wreszcie bardzo małą jest liczba rzemieślników u nas, aby starczyła na kilkaset dzieci a może i więcej.

Więc chociaż pozornie system ten łączy życie rodzinne z wychowaniem specyalnem, okazał się w swych następstwach niemożliwym do przeprowadzenia.

Pozostaje nam tedy do rozpatrzenia system t. z. „Cottage Home" (dosłownie dom rodzinny) czyli szkoła w pojedyńczych domkach, któraby łączyła ogólne zalety szkoły specyalnej z korzyściami życia rodzinnego.

Mamy przed sobą sprawozdanie takiej kolonii sierot, wychowywanych według wzmiankowanego systemu, z którego wyjmujemy niektóre szczegóły.

Komitet urządzający posiada znaczną przestrzeń ziemi w Banstead w Surrey i zbudował kolonią na 500 sierot. Jest tam ośm domków dla chłopców a dwanaście dla dziewcząt. Każdy domek chłopców zostaje pod nadzorem ojca i matki domku, a każdy domek dziewcząt posiada matkę. Wszystkie domki i ich nadzorcy podlegają opiekunowi i opiekunce, których dom mieszkalny i inne zabudowania administracyjno-wychowawcze oddzielają domki chłopców od dziewcząt. Mamy tutaj dom dla nauczycieli, magazyn żywności, piekarnię, zakłady kąpielowe, szkołę dla starszych i szkołę dla małych dzieci, szwalnię, zakłady rękodzielnicze i mały kościołek.

W domku dla chłopców, ojciec domku jest nauczycielem rzemiosła, a jego żona ma powierzoną sobie pieczę nad czystością mieszkania, bielizną i ubraniem chłopców. Obecnie pomiędzy ojcami domków spotykamy piekarza, szklarza, stolarza, krawca, szewca, kowala, ogrodnika i jednego nauczyciela mustry.

Dzieci pomieszczone w domkach w ten sposób, że obok małych są starsze, zwłaszcza w domkach dziewczęcych, aby tym sposobem starsze pomagały matce domku w zajęciach gospodarskich i nauczyły się pilnowania i niańczenia dzieci.

Każdy domek ma na piętrze dwie sypialnie, garderobę i sypialnię dla ojca i matki domku, zaś na parterze jest ogólna sala mieszkalna, jadalna i pokój mieszkalny dla rodziców domku, dalej kuchnia, łazienka i pokój do umywania, w którym są rury wodociągowe zawierające czystą wodę zimną i ciepłą.

Na przypadek zaraźliwej słabości lub epidemii jest wybudowany szpital na 32 łóżek.

Dzieci tej kolonii, według świadectwa tamecznego lekarza wskazują już po roku pobytu znaczne polepszenie fizyczne w budowie i rozroście kości i muskułów.

Przytoczone szczegóły starczą do zobrazowania sobie tej kolonii dla sierot i poznania korzyści systemu „Cottage Home", który wobec naszego systemu wydaje się prawdziwym rajem.

Zarzucają nam i niestety słusznie, że zbyt pochopnie naśladujemy zagranicę, szczerze pragnęlibyśmy abyśmy poszli w tym wypadku za wzorem Anglii, ulżyli niedolę biednych sierot i społeczeństwu dali ludzi zdrowych zacnych i pracowitych.

Ale według stawu grobla. Tam gdzie Anglia może krocie wydawać, my zaledwie setkami rozporządzać możemy. Więc nie budujmy takich wspaniałych kolonii, jak powyższa w Banstead, natomiast możemy umieścić sieroty w domach włościańskich, po wsiach okolicznych, wybudowawszy tam szkołę specyalną. Nasz chłop chętnie za małe wynagrodzenie podejmie się wyżywienia dziecka, a właściciele majątku, prywatni oficyaliści, a zwłaszcza duchowieństwo napewno nie odmówiliby nadzoru. Taka szkoła byłaby dobrodziejstwem nietylko dla sierot, któreby używając ruchu, świeżego powietrza i dostatecznie odżywiane, wychowywały się na zdrowych i pożytecznych członków społeczeństwa, ale i dla samych okolicznych dzieci włościańskich, mogących korzystać z nauki. A przytem wychowanie rodzinne łączyłoby się ze szkolnem.

Czy starczą na to fundusze Towarzystwa?

Pieniądz tanieje nieustannie, tem samem zmniejsza się wartość zapisu — jednak w miarę utraty wartości pieniężnej rośnie cena ziemi — byłoby więc o wiele korzystniejszem dla Towarzystwa, zamiast płacenia gotówką za utrzymanie sieroty, zakupić we wsi pewną przestrzeń gruntu, a za używalność kilku zagonów wieśniak wziąłby na utrzymanie dziecko. Suma włożona w ziemię byłaby wieczną a procentowałaby się w formie żywienia sieroty.

Jako przykład cytujemy Belgię, w której są wsie dziedzicznie trudniące się leczeniem obłąkanych. We wsi jest wspólna sala jadalna i zabaw, a każdy obłąkany mieszka u wieśniaka. System ten okazał się w swych skutkach nader pomyślnym.

A zresztą jeśli wszyscy się godzimy na korzyści „kolonii letnich dla ubogich dzieci" na przeciąg dwu miesięcy, jakąż korzyść fizyczną i moralną przyniósłby powyższy system zastosowany rozumnie do naszych stosunków.

Rzucamy myśl — nie do nas należy jej wykonanie i praktyczne przeprowadzenie. Czy, kiedy i jak się ona urzeczywistni, przyszłość pokaże.

A. Gruszecki.

Z pierwszych poranków życia.

Słońce czoło na świat chyli,
Wstając znowu z swej pościeli,
To się podnieść wyżej sili,
To promieniem złotym strzeli.

Brzegi góry, najeżonej
Ciemnym lasem, słońce złoci,
I świat błyszczy jak złocony,
Jak zaklęty kwiat paproci.

Mgła roztacza się w dolinie,
Wśród gałęzi drzew się plącze,
To znów dalej z wiatrem płynie.
Goniąc jego skrzydła rącze.

Lub z wierzchołka rosą spadnie
I gałązkę drzewa zmoczy,
Tak jak łezka moczy oczy,
Błyśnie, zgaśnie i przepadnie.

Lasy szepczą, szepczą góry,
Swe zaklęte snów powieści,
Z mgłą u skroni — jak figury,
Wyglądają z opowieści.

I ja stoję w mgły powiciu,
W marzenia duch rwie dziecięcy,
Chciałbym w tem utonąć życiu,
I człowiekiem nie być więcej.

Ale młoda dusza chowa
Takie chęci i pragnienia,
Takie piosnki, takie słowa,
Takie jak wszystkie marzenia.

Pragnie w wątłych szatach cieni,
Przebiedz życie stopą ducha,
Drogę usłać z gwiazd promieni,
I, jak widmo zostać głucha.

Och! lecz w życiu takim zostać,
Po tak ostrym biedz kobiercu,
Trudno — biorę ludzką postać,
Bez zwątpień i z męztwem w sercu.

Janusz Bończa.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

Skoro pani Popielska wsiadła do karety i znikła nam z oczu za wrotami, Ksenia rzuciła się ciotce na szyję, omało nie zdusiła jej w uściskach, nazwała się: złą, nieznośną, waryatką, przyznała, że mamy słuszność gniewać się na nią, ale że ona inaczej postąpić nie mogła w żaden sposób, czując że śpiewa lepiej od niedoszłej nauczycielki. Prosiliśmy ją żeby nam zaśpiewała, abyśmy to sami osądzić mogli.

— Nie teraz! odparła krótko.

I odtąd, ile razy napomknęliśmy jej o śpiewie odpowiadała nam zawsze niechętnie:

— Później, później zaśpiewam kiedy.

Dopiero w kilka tygodni potem, jednego wietrznego, księżycowego marcowego wieczora, usłyszałem ją śpiewającą.

Dawno już zapalono lampy i towarzystwo nasze całe przygotowywało się do słuchania nowej powieści Kraszewskiego, a której panna Rewińska, sprawująca urząd lektorki, karty rozcinała, czekając tylko na Ksenię, wyjątkowo długo nienadchodzącą ze swych pokoi. Kiedy jednakże ostatnia kartka rozciętą została i Anastazya książkę rozłożyła a dziewczyna jeszcze nie przyszła, Jenerałowa nie chcąc poruszać pań, które już się pomieściły wygodnie w fotelach, wysłała mnie po siostrzenicę.

— Idź i sprowadź tę nudziarkę! rzekła mi wkładając złote okulary i zabierając się do jakiejś robótki.

Przez długi korytarz oświetlony słabem światłem kolorowej lampy, udałem się do bocznego skrzydła pałacu i stanąwszy pod drzwiami Kseni zapukałem w nie lekko.

Nikt mi ze środka nie odpowiedział. Domyślając się, że ukrainka jest w drugim pokoju, wszedłem.

Zastałem ją istotnie w jej sypialni, stojącą przy oknie bez światła, tak zamyśloną, że nie słyszała ani trzaśnięcia klamki, ani kroków moich stłumionych grubym dywanem zalegającym całą podłogę.

Zbliżyłem się na palcach i stanąłem tuż za nią.

Stała w promieniu księżycowego światła, z czołem opartem o szybę, patrząc na szeroki martwy zimowy krajobraz i kołyszące się gwałtownie nagie drzew konary.

Dostrzegłem że poruszała ustami, słów jednakże, ani nawet szeptu, pomimo bacznego nasłuchiwania uchwycić nie mogłem. Dotknąłem zlekka jej ramienia.

— Co pani robi? spytałem.

— Śpiewam, odparła łagodnie.

— Nic nie słyszę.

— Ja się słyszę.

— Niechże i ja posłyszę! prosiłem.

Uśmiechnęła się i nic nie mówiąc poszła w kąt pokoju i w ciemnościach zdjęła jakiś przedmiot wiszący na ścianie.

Usłyszałem cichy brzęk strun i za chwilę powróciła do mnie z teorbanem w ręku.

— Co ci zaśpiewać mój staruszku? zapytała siadając na maleńkiej otomance oblanej jasnym blaskiem księżyca.

— Co ci zaśpiewać mój staruszku? powtórzyła kładąc palce na strunach i biorąc kilka krótkich a dzikich akkordów, które rozbrzmiały dziwnie po wspaniałych komnatach starego pałacu. I spojrzawszy w niebo na którem księżyc jakby walcząc to wypływał, to się krył w chmury, nie czekając odpowiedzi zaśpiewała:

— „Zakotyw sia misiać w chmary
Świszcze bura po horach..."

Jak tam było dalej, nie pamiętam! wiem tylko, że: była i burza stepowa i dnieprowe porohy i kozak z „czajkoju", który się niczego nie lękał, czapką się burzy i marom pokłonił, i tylko się piana z pod wiosła rozprysła, na pohybel wrogowi, na pohybel każdemu, kogo ptak ten spotka na swej drodze! Bo to niepieszczony syn przyrody, on nie lubi słów słodkich! Jego łzą nie zmiękczysz, ani piekłem ustraszysz, bo on tylko sławie bije pokłony, a co tam na niebie to nie wie i modlitwę umie jedną tylko w której prosi o śmierć dla siebie taką „jakby duszu czort schwataw!" Moja śpiewaczka pierwsze tony pieśni śpiewała ścicha, głosem stłumionym, nizkim, głębokim... Po kilku jednakże taktach, dzika i hulaszcza melodya uniosła ją i rzuciła z piersi taką falę tonów razem tęskną i dziką, miękką aż łzawą a gorącą i namiętną, że trudno było pojąć, że ta powódź melodyi, od której zdawało się że powietrze poruszone i promienie księżyca zalewające pokój, drżą razem, wypływa z piętnastoletniej piersi dziewczęcej.

Wkrótce przecież pieśń się skończyła i dziewczyna bez chwili przestanku, przeszła nagle w inną dumę ciężko smutną, spokojną, rzewną, miejscami rozpaczliwą. Gdy w końcu doszła do słów:

— „Czorne more dryme tycho, nema czajki [z kozakom...
Zawaliło jakby łycho naszy zamki nad Dnie-[prom..."

urwała nagle, odrzuciła teorban i ukrywszy twarz w poduszkach sofy wybuchła głośnym płaczem.

W pierwszej chwili nie mogłem pojąć co się stało i stałem zdumiony: w kilka minut dopiero zbliżyłem się do dziewczęcia, które wciśnięte w róg kanapki, przytulone do poduszek, łkało spazmatycznie.

— Panno Kseniu, co ci jest? pytałem ujmując jej rączki. Czego płaczesz, na Boga?...

Moja faworytka nie odpowiadała mi drżąc cała od łkań, które rozrywały jej piersi. Ująłem ją za ręce obie i podniósłszy posadziłem prosto prawie gwałtem, przyniosłem wody i zmusiłem ją, aby wypiła całą szklankę.

— Co ci jest, dziecko? zapytałem gdy się uspokoiła cokolwiek.

— Żal mi! wybuchła namiętnie — żal mi za moim krajem, za moją Ukrainą! żal mi za stepem naszym .. sinozielonym, falistym stepem Połtawskim! za naszą siwą Woroklą krętobrzegą! za bujnym wiatrem dmuchającym od morza — i za lotniejszym od wiatru koniem moim w tabunie! Żal mi za tabunem hulającym po stepie, za ogniami tabuńczyków, płonącemi nocą po mogiłach i za ich pieśniami płynącemi po rosie daleko po szerokim kraju!

Zacisnęła chustką usta i usiłowała stłumić łkania wyrywające się z piersi.

— Czy czujesz się tu nieszczęśliwą? zapytałem po chwili gdy pierwszy wybuch żalu uspokoił się nieco, i łzy płynęły spokojniejszym potokiem.

— Nie... odparła ścicha — jesteście wszyscy bardzo dobrzy dla mnie i psujecie mnie, wiem to bardzo dobrze! Na niczem mi nie zbywa, i widzę tu wiele pięknych rzeczy o których nie miałam pojęcia nawet, że istnieją... ale cóż, kiedy przywyknąć nie mogę do tego wszystkiego i wasze życie męczy mnie. Wiem, że jestem złą i niewdzięczną, bo pragniecie dla mnie dobra i uczycie mnie wiele rzeczy pożytecznych i koniecznie potrzebnych, ale tęsknię za moją dawną swobodą i nie mogę na to poradzić nic! Kazaliście mi śpiewać! wiedziałam że tak będzie! Dopóki jestem pomiędzy ludźmi, dopóki się śmieję i rozmawiam, to nic, ale niechno pozostanę sama i zacznę śpiewać, zaraz step staje mi przed oczyma i na duszy robi się tak ciężko, że myślę czasem że tam chyba coś w piersi pęknie...

Powiedziałem dziewczęciu: że lepiej, że zaśpiewała i łzy które się tam w piersi zbierały, wylały się wreszcie. Uspokajałem ją, że nie na zawsze przecież rzuciła Ukrainę, że uprosimy kiedy jenerałowę i pojedziemy na chutor wszyscy razem. Dziewczyna uspakajała się słuchając mnie jak dziecko.

— Nie mów o tem cioci — przykroby jej było... rzekła ocierając zapłakane oczy. Doradziłem jej żeby otworzyła okno i wychyliła się na wiatr chłodny, który prędzej ślady łez wysuszy z jej twarzy, aby gdy pójdzie do wieczerzy nie spostrzeżono zmiany w jej licu. Usłuchała mnie i stanęliśmy oboje w oknie, przysłuchując się szumowi starych świerków poruszanych silnym wiatrem.

Ksenia chwytała chciwie ustami te chłodne, orzeźwiające powiewy.

— Staruszku, rzekła prawie nieśmiało: gdybyśmy tak wyszli teraz, tak żeby nas nikt nie widział, gdzie w świat Boży!... Od czasu jak tu jestem trzymacie mnie tylko w salonach, a tak pragnęłabym zobaczyć szerszy horyzont, użyć trochę ruchu, wiatru i tego księżycowego światła!

— No, to zabierz się, tylko prędko i ciepło, zawołałem.

Ksenia jednym skokiem była już w garderobie, zkąd powróciła w dwie minuty ubrana w aksamitną szubkę, obłożoną popielatem futerkiem, baszlik na głowie i buciki węgierskie na grubych podeszwach.

Podałem jej ramię i przebiegłszy szybko długi korytarz, wymknęliśmy się bocznemi drzwiami na jasnem światłem księżyca zalany ogród. Obszedłszy pałac dokoła, wyprowadziłem moją towarzyszkę na podwórze, zkąd otworzywszy kluczem, który zwykle nosiłem w kieszeni, znajdującą się po za śpichlerzem furtkę, wyszliśmy w pole. Na polu pod ten czas wcale nie było ciekawie. Śnieg po całogodzinnym deszczu tajał na gwałt, napełniając bruzdy połyskującą pod światło wodą. Wierzchem zagonów ziemia już czerniała, robiła się na świecie łatanina szkaradna i pole całe, jak je oko zasięgło było srokate. Ukrainka moja była jednakże zadowolona — szła szybko ciągnąc mnie za sobą dróżką wązką, którą zwykle fornale wyjeżdżali w pole, pełną wyboi, dziur i wytryskującego z pod nóg błota. Oddychała pełną piersią nadstawiając z rozkoszą zimnym podmuchom wiatru czoło: czasem przystawała, popatrzała w górę na księżyc i wełniasto lekkie chmurki przemykające po nad naszemi głowami: rozglądała się po pustem polu, posłuchała jakiegoś śpiewu który się wśród ciszy nocnej rozlegał, powtarzając z pijanym uporem jedną i tę samą zwrotkę „Oj dana moja dana, gdybym była wstała z rana" i biegła potem dalej i dalej i niebyłoby temu końca, gdybyśmy nareszcie nie doszli do szosy, którą już wprost zawróciliśmy do domu. Wracaliśmy teraz przez wieś: faworytka moja, której wiatr świeży łzy osuszył i wszystkie smutki rozwiał z czoła, odzyskawszy swój zwykły humor, wesoła już i uśmiechnięta zatrzymywała się pod oknami chat włościańskich, zaglądając ciekawie w oświetlone czerwonym blaskiem płonących ognisk ich wnętrza i uciekając następnie sarniemi skokami przed napadami zawziętych Kruczków, które zaniepokojone ciekawością dziewczyny, wybiegały z zagród ujadając zajadle i odprowadzały z hałaśliwym korowodem aż do pałacowej bramy.

Gdyśmy jednakże stanęli pod wystawą pałacową, Ksenia spoważniała znowu i kładąc obie rączki na mojem ramieniu, spojrzała mi w twarz swemi czarownemi, zadumanemi oczyma.

— Jakiś ty dobry dla mnie, jakiś ty dobry! rzekła mi słodko.

Ująłem obie jej rączki w moje dłonie i odrzekłem:

— Ile razy zapragniesz czego, przyjdź do mnie — zrobię zawsze co zechcesz.

(D. c. n.)

MARYA STUART

W HISTORYI I W LITERATURZE.

Napisał

ZORYAN.

(Dalszy ciąg.)

III.

„Marya Stuart" przypada na tę epokę twórczości poetyckiej Schillera, w której niepospolite natchnienie przebrało się w szaty najwyszukańsze i skończenie artystyczna forma owładnęła zupełnie fantazyą. Od napisania „Zbójców" upłynęło lat dwadzieścia i trzy, „Intrygaji miłość" znaną już była lat szesnaście; nic więc dziwnego, że taki przeciąg czasu nie pozostał na takim geniuszu, jak Schiller, bez wpływu. Wiedza, doświadczenie, a nadewszystko głębokie badania dziejów i natury ludzkiej, spotęgowały siły pióra. Szczególniej pamiętać należy, że Schiller w studyach historycznych celuje sumiennością, niezmiernym darem spostrzegawczym i niemal natchnieniem historyozofa. Umie on zajrzeć w bliższą, lub w odleglejszą dobę dziejów, odgadnąć jej ducha i wiernie prozą, czy wierszem odtworzyć. Przytem był estetykiem, idącym zarówno za natchnieniem, jak i za tem delikatnem poczuciem piękna, które daje tylko wytrawne znawstwo, oparte na rozległych studyach. Dlatego w poezyi jego dwa czynniki musimy głównie uważać: *sztukę i dzieje.*

Na pierwszą musi się zawsze składać: *prawda i piękno,* te dwa najpierwsze warunki elementarnych pojęć o sztuce. Odpowiada im Schiller najzupełniej. To też wszyscy krytycy godzą się na zdania o jego dziełach: „najrzetelniejsza prawda w blasku najwyższego piękna". O ile w innych, osobliwie niedramatycznych dziełach, dawał się porywać pięknu, o tyle w poezyi dramatycznej coraz bardziej przestrzegał prawdy — im dzieło późniejsze, tem to widoczniejsze, a niezawodnie „Maryi Stuart" pod tym względem należy się pierwszeństwo. Taka wszędzie konsekwencya nieubłagana, tak bez przerwy prawie, zawsze i zawsze tylko zimna i niewzruszona prawda, tyle realizmu — w dobrem rozumieniu tego wyrazu — że niepodobna nawet zrobić zarzutu najlżejszego. Lecz właśnie dlatego inny zarzut znajduje podstawę, a tym: brak życia dramatycznego — co nawet w czasie pierwszego przedstawienia dramatu w Weimarze ogólną zwróciło uwagę.

Pierwsze dzieła Schillera kipiały życiem zanadto może — „Marya Stuart" zaś mogłaby być mniej refleksyjną. Tam walki namiętności i intrygi na pierwszym planie, tu schodzą one z drogi wielkim prawdom dziejowym i społecznym.

Że to dramat historyczny, więc w całem dziele jest poeta najzupełniej przedmiotowym. Każdy czyn, każde słowo osób działających zwraca się tylko do sprawy — nikt nie zajmuje się wyłącznie swojem ja, któreby mu może autor mógł podszeptać. Wszędzie, gdzie natrafimy tylko na uczucia osobiste, gdzie namiętność jakaś najdrobniejsza się ukaże, znajdziemy zaraz uzasadnienie: to potrzebne dla rozwoju, lub wytłomaczenia sprawy. Nic więc dziwnego, że wobec takiego zadania poeta nie może rozwijać indywidualności — jedyny wyjątek stanowi pod tym względem Mortimer. Jego miłość nosi cechę dawnych dzieł Schillera, jest czysto indywidualną.

Taką postać, jak Mortimer, wprowadził poeta nie przez zapomnienie, lecz niezawodnie dla scharakteryzowania kontrastem epoki historycznej. Była to epoka przewrotów społecznych, w której indywidualność zatarto zupełnie. Tam nie liczono głów straconych, bo liczono na setki tysięcy, bo ważne momenta zaznaczały się nie stratą kilkudziesięciu szermierzy, lecz zwycięztwem idei. Wszystko zapalało się w myśli ogólnej — walczono o rządy i religie. Oto dwie rzeczy najważniejsze, które na celu mając ogół, pochłonęły jednostkę, nie pozwalały nawet myśleć o osobistych sprawach, czy namiętnościach. Takiem przed innemi było społeczeństwo angielskie, takiem chciał je mieć Schiller. Mortimer jego — to człowiek od mienny. Wychowany w surowości, nie odbiegał myślą od ogółu, bo nie było iskry, któraby zapaliła namiętności osobiste. Rzucony wszakże w kraje odległe, do Włoch i Francyi, poznaje świat iny i ludzi odmiennych przekonań, nic więc dziwnego, że przylgnął do nich, a szlachetny i ognisty z natury, stał się gorliwym ich zwolennikiem. Trzebaż jeszcze, by go widok niezwykłej piękności kobiety — lecz tylko jej portretu dopiero — zachwycił i obudził uczucie zrazu nieokreślone, nienazwane, chęć poznania jej, a gdy opowieść o jej losie zajęła żywą wyobraźnię, chęć ta wzrasta coraz bardziej. Kobieta, którą pokochał na widok obrazu, jest to nieszczęśliwa Marya Stuart, więziona długie lata, a wyczekująca daremnie oswobodzenia. Cóż ponętniejszego, a naturalniejszego, jak chęć zostania wybawcą nieszczęśliwej, a tak pięknej kobiety? Mortimer zapala się do pięknego czynu łatwo; przyjeżdża, poznaje Maryą i traz zupełnie ulega czarowi, który ta kobieta na tych, co ją znali, wywierała. Chce ją ratować, lecz nie myśli o nikim, o niczem. Nie trwoży go krwawa droga, na którą wstępuje, bo kocha i dla tej miłości gotów poświęcić wszystko.

Czemże są dla mnie wszystkie życia razem
Naprzeciw ciebie i miłości mojej!
Niechaj budowa świata się roztroi,
Niech drugi potop w wód wezbranych łonie
Wszystkie żyjące stworzenia pochłonie,
Dla mnie to jedno. — Zanim nas rozłączą,
Wprzód się dni wszystkie w dniu ostatnim skończą.

Wielka ta miłość indywidualna pięknie odbija w przeciwstawieniu do całości, w której nie jednostki, lecz masy, narody są działaczami. Takich Mortimerów ma każda epoka, a najwidoczniejsi są właśnie w epoce zamalgamowania jednostek. Pojawiają się oni na kartach historycznych, jako rzecznicy oswobodzenia indywidualności, gdy idea państwowa czy religijna ją pragnie zatracić; występują również w życiu społecznem, gdy konwenanse usiłują zgnieść jednostkę z jej uczuciami i wymaganiami. Przykłady takich postaci dał Schiller już poprzednio w „Sprzysiężeniu Fieska", „Intrydze i miłości" i innych...

Tak więc, naznaczając wyjątkową postać Mortimera, musimy raz jeszcze zwrócić uwagę na tę wysokiej wagi okoliczność, że w dramacie Schillera nie osobistości występują do walki, lecz idee.

Na pierwszy rzut oka widzimy tylko brak pewnego ożywienia, walki namiętności czysto indywidualnych, a szukając przyczyny tego zjawiska, nie możemy na nic innego wskazać, jak tylko, na dążenie do ścisłej objektywności historycznej, na usiłowanie stworzenia najdoskonalszego obrazu życia społecznego w pewnej dobie dziejowej. Maluje więc poeta życie jednostki w stosunku do społeczeństwa i wciela ją w walkę ogółu. Ażeby to wcielenie tem było zupełniejsze, ażeby osoby, przez których usta te ścierające się społeczeństwa mają przemawiać, tem mniej o sobie samych myślały — stawia je poeta na stanowisku w narodzie najwyższem. W owej przynajmniej epoce król, czy królowa, byli uosobieniem narodu. Do wypowiedzenia więc swych wielkich myśli stawia Schiller naprzeciw siebie dwie królowe. Wybornie mu tu posłużył fakt historyczny, sprawa Maryi szkockiej, lecz jeśli poeta nie zapomniał o Maryi samej, to niezawodnie więcej myślał o idei, o walce dwóch religii, narodów. Wielką jest „Marya Stuart", jako dzieło znakomitego historyozofa — lecz usunięcie z dramatu namiętności ogólnoludzkich na drugi plan niemniej przeto pozostanie błędem.

Do wspomnianego już braku ożywienia przyczynia się niemniej ubogi materyał dramatu. Da on

się streścić w kilku słowach: Skazana Już Marya prosi o dozwolenie widzenia się z Elżbietą, na co ta zezwala, spotkanie powiększa jeszcze rozjątrzenie, które potęguje się, gdy wypadkiem kilka chwil później nie udał się zamach na życie Elżbiety, odkrywa spisek — Elżbieta podpisuje wyrok, który niezwłocznie wykonują.

A jednak obok tego, a może właśnie dlatego, rozwija poeta znakomitą technikę artystyczną i szczupły materyał umie kunsztownym prawdziwie planem przerobić w pięciu aktach tak, że co chwila natrafiamy na rzeczy nowe, a mogące wzbudzić zajęcie. I oto mamy dramat, w którym prostota splata się doskonale z podziwu godną sztuką. Ztądto „Maryą Stuart" stawiają krytycy niemieccy obok „Tella" i „Ifigenii" Goethego na wzór, pod względem doskonałaści budowy dramatu. Rozwinąć szczupły materyał tak, aby nic nie powtórzyć i nie pominąć, aby każda myśl w poprzedniej znalazła podstawę, w wstępnej ściśle logiczny wynik, aby wreszcie rozłożyć akcyą tak miarowo, jak tego wymagają przepisy estetyki — oto co głównie w budowie „Maryi Stuart" Schiller miał na myśli. I przyznać trzeba, powiodła mu się najzupełniej. Jego Marya śmiało może stać obok „Ifigenii" Goethego, która obfitszym rozporządza materyałem.

Wspomnieliśmy już, że dla rozwinięcia szczupłej bardzo treści, dla wzbudzenia interesu etycznego w ciągu całej dość długiej sztuki, użył Schiller architektoniki bardzo misternej. Wprowadza on mianowicie wiele epizodów, służących do wyjaśnienia sprawy, ztąd więc ciekawych i potrzebnych a które nie główny filar, lecz ozdobę sztuki stanowią. Tak np. wprowadza poeta jeden z najważniejszych czynników życia ludzkiego, miłość, idącą w parze z nieoddzielną siostrzycą, zazdrością. Nieodłączne to, powiadamy siostry, bo i jakżeżby w tym wypadku inaczej być mogło? Marya i Elżbieta kochają jednego — Lestra. Kiedy więc głównem tętnem sztuki jest walka o tron i religią — miłość wplata się nieznacznie i podmuchem zazdrości podżega silniej ogień wzajemnego antagonizmu. Jest to niezawodnie motyw w dziele sztuki piękny i dobrze obmyślany, lecz w tym wypadku zapewne dla zbyt ściśle przestrzeganego charakteru historycznego za mało ludzki. Miłość ta jest, jeśli się tak wyrazić wolno, zbyt królewską.

Elżbieta kocha Lestra i wierzy w jego miłość, daje mu tego dowody, a jednak już decyduje się zawrzeć śluby z delfinem francuzkim, a kiedy następnie zerwała układy, postanawia pomimo miłości dla kochanka pozostać w stanie dziewiczym. Tak więc utrzymywanie ciągłe serdecznych stosunków z Lestrem, a rozporządzanie swobodne ręką stosownie do wymagań polityki, jest zanadto rażącem, bo wbrew zwyczajom, uświęconym przez religią i wieki. Przywykliśmy patrzeć na takie rzeczy przez palce, gdy idzie o mężczyznę, króla— od kobiety wymagamy w życiu i sztuce więcej, może dlatego, że uważamy ją za etycznie wyższą, w niej głównie skarb cnoty domowego ogniska upatrując. Tak więc nie przeczymy, że to zgodne z prawdą dziejową, że to dobrze maluje owoczesny obyczaj, lecz stanowczo nie możemy tego nazwać pięknem.

(*D. c. n.*)

BAZYLI ALEXANDRI.

Jego stanowisko i znaczenie w dzisiejszej Rumunii.

Przez

D-ra Rudolfa Rożniatowskiego.

(Dokończenie.)

Zachęcony powodzeniem Alexandri, pracował dalej dla narodowej sceny. Napisał jeszcze kilka komedyi i wiele scen komicznych, które stanowią trwałą podstawę dla przyszłego rozwoju rumuńskiego teatru. I na tem polu Alexandri jest przedewszystkiem rumuńskim patryotą: nie wikła się w problematycznej wartości tendencyach, lecz jedynie ma na celu pożytek i umoralnienie swoich rodaków. Dokładnie obznajmiony z warunkami scenicznemi, głęboki znawca ludzi, praktyczny badacz-psycholog, umie on na gorącym uczynku pochwycić zdrożności i wady Rumunów i odwzorować je w typowych postaciach. Rumuni śmieją się, ale... pomimowoli odczuwają ostrze zjadliwej satyry, którą poeta częstować ich raczy... Komizm Alexandri posiada odrębną, jemu właściwą cechę. Nie jest to komizm zawikłanej intrygi lub dziwacznych charakterów, jest to raczej komizm namiętności, wad i głupoty ludzkiej, jakie się wszędzie i codziennie spotykają. Poeta dzielnie włada dyalogiem; nigdy nie wysila się na dowcip; osoby jego przemawiają językiem zwykłym, naturalnym; lecz gdy zaczną spowiadać się przed publicznością z uczuć i poglądów swoich, tyle w tej spowiedzi prawdy, werwy i komizmu, że niepodobna wstrzymać się od śmiechu. Ztąd też pochodzi, że komedye Alexandri jednakowe sprawiają wrażenie na scenie i w czytaniu. Aktor nie potrzebuje wysilać się, żeby grą podnieść zalety utworu; bez gry aktora utwór wywołuje serdeczny śmiech w czytelniku — i to właśnie stanowi cechę prawdziwego komizmu.

Czy prace Alexandri wywarły zbawienny wpływ na umoralnienie rumuńskiego społeczeństwa? Niezawodnie. Kto znał Rumunów przed trzydziestoma laty i kto na nich dzisiaj patrzy, przy wrogiem nawet usposobieniu, musi przyznać, że naród ten zrobił ogromny postęp. Zapewne przyczyniło się do tego wiele rozmaitych wypadków i okoliczności, ale i praca poety nie pozostała bez skutku. Takie utwory, jak „Hora Univei", „Mołdawia w 1857 r.", „Jerzy z Sadogóry", „Pani Kiritza", „Despot-Voda" i wiele innych nie mogły pozostać bez wpływu, bo wstrząsały naród aż do głębi duszy.

Wprawdzie dzisiejsza Rumunia nie jest krajem wzorowym: i tam są ułomności, wady i występki ludzkie, ale są tam już i rzeczy, które nie wszędzie widzieć można. Społeczność rumuńska posiada poczucie godności narodowej, trzeźwo zapatruje się na interesa i potrzeby kraju, i chętnie garnie się do oświaty, a któż nie przyzna, że są to oznaki prawdziwego postępu. Zdrowy rozsądek Rumunów w tem się wyraża, że jasno rozumieją czego chcą, i co w danej chwili robić powinni. Nie bawią się oni w pozytywizm, krytycyzm i t. d., bo wiedzą, że są to bardzo dobre rzeczy w pracowni uczonego badacza, lecz dla mas na nic się nie zdały. Można dwadzieścia lat rozprawiać o pozytywizmie, a pożytek z tego dla ogółu będzie żaden, lub co gorsza ujemny, bo ogół, ten w codziennem powszednim życiu pogrążony ogół, dla prawidłowego rozwoju potrzebuje trzech rzeczy: szczerego przywiązania do rodzinnej ziemi, umoralnienia jednostek, bez czego żadna społeczność ostać się nie może, i jak największej ilości faktycznej wiedzy, dającej się zastosować w pracy. Rumuni też pracują w tym kierunku, a trzeba im oddać sprawiedliwość, że pracują rozważnie, wytrwale i pospiesznie. Robi to zaszczyt rumuńskiej inteligencyi, że przodując w pracy swojego narodu, działa samodzielnie, kieruje się istotnemi potrzebami kraju i nie naśladuje niewolniczo obcych wzorów. Izby Rumuńskie nie obalają dla zabawy ministrów; naród przywiązany do panującego króla, nie marzy o rzeczypospolitej, bo wie, że owe wychwalane „liberalne" respubliki bywają często despotyczniejsze od tureckich sułtanów; wojsko rumuńskie nie ogłasza niedorzecznych pronuncyamentów; słowem, narodowe życie w Rumunii płynie spokojnie, rozważnie i z godnością, czego niestety, nie można powiedzieć o wielu innych bardziej cywilizowanych narodach, w naszej starej i nieco zdziwaczałej Europie.

Lecz powróćmy do Alexandri. Gorący wielbiciel chwały narodowej, wydał po ostatniej wojnie niewielki zbiorek swoich poezyi p. t. „Żołnierzom naszym". Mała ta książeczka na szarej bibule wydana (żeby mogła stać się własnością każdego żołnierza) oprócz kilku piosenek żołnierskich w stylu ludowym, kilku lirycznych ustępów, zawiera serdecznie napisaną przemowę do wojska rumuńskiego. Ogólna treść tych wierszy jest następująca: „Dumny jestem, bracia, żeście pokazali światu, iż nie zaginęła jeszcze waleczność bohaterskich przodków naszych. Chwała co was dziś okrywa jest uroczą jutrzenką, która zapowiada jasną przyszłość ojczyznie naszej. Pamiętajcie jednak, że na ostrzach bagnetów waszych spoczywa najdroższy skarb Rumuna: niepodległość kraju i honor narodowy. Działajcie zawsze tak, żebyście zmusili świat, iżby was szanował, a gdy mówicie, żeby świat wiedział, że co Rumun rzekł, to rycerz dotrzyma."

I nie była to pusta przechwałka. W przebiegu nowszych wypadków stało się raz, że jedno z potężnych państw zagroziło Rumunii, iż każe rozbroić jej wojsko. Na to obecnie panujący król dał przez posła krótką odpowiedź: „proszę oświadczyć w mojem imieniu, że przemagająca siła może rozbić rumuńską armię, ale ją rozbroić — nigdy!"

I cała Rumunia przyklasnęła tej odpowiedzi. Do rozbrojenia też nie doszło, bo... niełatwo to już rzeczą rozbroić dwa kroć sto tysięcy dobrze uzbrojonych i zawziętych dorobańców. Można spotkać miłą niespodziankę, która będzie drogo kosztować.

Szczęśliwy to jednak kraj, gdzie król, poeta i naród, wzajemnie się rozumieją.

Jeden z ostatnich utworów Alexandri, na obszerną skalę pomyślany i napisany dramat historyczny p. t. „Despot-Voda" jest prawdziwem arcydziełem, które śmiało może rywalizować z najcelniejszemi utworami tego rodzaju w innych literaturach. Poeta połączył tu Szekspirowski układ i kreślenie charakterów z szlachetną dykcyą Szyllera. Rzecz to wykończona, w której każdy szczegół dobrze świadczy o mistrzu. Akcya żywa, dyalogi krótkie, jędrne, świetnym wierszem wypowiedziane, charaktery wybitne, jakby wyrzeźbione, sceny naprzemian śmieszne, wzruszające i ponure, w których wre cała burza namiętności ludzkich, wszystko to tak dalece porywa uwagę czytelnika, że od książki oderwać się trudno.

Jest to jednak artystyczna strona medalu, ale jest i druga strona. Alexandri jak wiadomo nie jest zwolennikiem sztuki dla sztuki. Po za mistrzostwem, po za sztuką idzie u niego cel praktyczny. Owoż z tego stanowiska wychodząc, mógłby autor śmiało na dramacie napisać inny tytuł: „Magnatom naszym”.

Treść dramatu jest ściśle historyczna; sam fakt wzięty z dziejów; poeta ugrupował tylko koło niego szereg typów bojarskich, z których każdy pod maską patryotyzmu grzeszy samolubstwem i prywatą. Zaczynając od owego komicznego waryata, Ciuber-Vody, który jeżdżąc na drewnianym koniku, marzy o mitrze książęcej, aż do przewrotnego bohatera dramatu, Despota-Vody, są to albo awanturnicy, albo liche miernoty, których pożera nienasycona żądza wyniesienia się. Wszystko dla tej żądzy poświęcają: dobro kraju, honor, sumienie i własne dzieci nawet, byle choć na chwilę, choć na dzień jeden pochwycić władzę w nieudolne ręce. Dramat kończy się zabójstwem Despota, który ginie bez pożytku dla kraju, bo któryż z zabójców jego był lepszym i dzielniejszym od niego? Smutne zaślepienie! Poeta jakby chciał powiedzieć: „patrzcie do czego prowadzi zła wola i ślepa namiętność. Pragniecie sławy i znaczenia, pracujcie szczerze dla kraju, bo na tej tylko drodze możecie zdobyć jedno i drugie; w przeciwnym razie spotka was upadek, hańba i wyrzuty sumienia, a po śmierci wzgarda pokoleń.”

Surowy dla swoich Alexandri jest pobłażliwym dla obcych. Wprowadza on na scenę dramatu naszego słynnego awanturnika, Olbrachta Łaskiego i każe mu z granicznych wyżyn Karpatów wydawać sąd o Mołdawskich bojarach. Dzięki łaskawej uprzejmości poety, nasz szlachcic-awanturnik nieźle się wywiązuje z tego zadania. Zarzuciwszy bowiem bojarom brak patryotyzmu, uczciwości i przewodniej myśli dziejowej, kończy swoją perorę z iście szlachecką zamaszystością:

„Sam dyabeł nie zgadnie, co się im podoba!”

Wdzięczni jesteśmy poecie, że wskutek właściwej mu działalności, nie rzucił kamieniem w naszą narodowość, wszelako szacunek dla prawdy dziejowej nakazuje nam wyznać, że *nasz* Łaski tyleż był wart, co mołdawscy bojarowie owego czasu. Był to awanturnik czystej wody, którego... ot wolelibyśmy nie widzieć w dziejach naszych. Wprawdzie przez usta Łaskiego przemawia sam poeta i tylko za pośrednictwem szlacheckiego medium wypowiada swój pogląd na kraj, ludzi i wypadki dramatu.

— „Patrz—mówi Łaski do Despota Heraklita— patrz, tam przed nami na krańcach w promieniach słońca, jakby w płaszczu królewskim, ściele się rozkoszna i zamożna kraina. To Mołdawia — to raj ziemski — to niewyczerpane źródło dobrobytu i błogiego życia. Posiada ona kwiaty i zboże, miód i wino... Ale jakie wino!... istny nektar dla starości, istny balsam na tęsknotę i smutek. Kraj to bogactw i czarów: jego dziewoje, co za dziewoje!... jego kobiety, jakie kobiety!... Pochwycą ci umysł i serce jednem spojrzeniem z pod długich rzęsów, jednym uśmiechem ust koralowych!... Niestety, ludzie tam zaślepieni, nieoględni i okrutni zbyt często polewają krwią ten piękny ogród kwiatowy...”

Któż to byli ci „zaślepieni, nieoględni i okrutni?” Przecie to nie był lud, co nigdy i nigdzie nie miał ani wpływu, ani znaczenia; byli to właśnie ci, co kierowali nawą kraju — bojarowie mołdawscy. Ich to karci surowy sąd poety...

I cóż na takie *dictum acerbum* powiedziała dzisiejsza arystokracya rumuńska? Rzecz nie do uwierzenia, przyklasnęła, serdecznie przyklasnęła poecie. Dlaczego? Bo i ją już ogarnął prąd lepszego życia i w jej piersi bije już serce rumuńskie, bo i ona wiernie dziś służy krajowi swemu: starsi w senacie, młodsi na urzędach, lub wojskowo, zdolniejsi na polu literatury i nauki. Są oni już nietylko „obecni”, ale i „przytomni” w kraju. Wszak to jeszcze nie tak dawno jeden z magnatów rumuńskich wypowiedział publicznie te piękne słowa: „nic dla nas, wszystko dla ojczyzny.”

Z prywatnego życia Alexandri wiadomo, że poeta kilka razy przymusowo opuszczał rodzinne strony i wiele podróżował po krajach Śródziemnego morza. Za panowania Napoleona III był ajentem Rumunii w Paryżu. Nie jest on bogatym, lecz bardzo zamożnym właścicielem ziemskim i obecnie w lecie najczęściej przebywa w swojej wiosce, Mirczesztach, gdzie sam kieruje gospodarką i pracuje nad utworami swojemi. W zimie odwiedza często Bukareszt, gdzie jest ulubieńcem wyższego towarzystwa. Uczony i poeta żyje więcej jako prywatny człowiek i jest tylko... „księciem rumuńskiej pieśni”, a jabym dodał i dobrym duchem swojego narodu. Gdy go porównamy z poetami innych rumuńskich narodów w XIX wieku, to musimy przyznać, że jest on jednym z największych i śmiało staje obok Leopardi, de Musset'a, Lamartina i Wiktora Hugo, a pod niektóremi względami nawet ich przewyższa, bo bądź co bądź Leopardi był pesymistą, de Musset chorobliwym talentem, Lamartine sielankowym marzycielem, a słynny Wiktor Hugo, pomimo wielkiej ilości dzieł swoich, był i jest paradoksalnym retorem, który często brak prawdziwego natchnienia sztukuje napuszoną i wyszukaną frazeologią. Wiktor Hugo jest zagorzałym republikaninem, Alexandri jest gorącym patryotą; Wiktor Hugo pisze byle więcej napisać i drożej sprzedać rękopism, Alexandri pisze gdy ma coś pięknego lub pożytecznego do powiedzenia rodakom swoim; Wiktor Hugo schlebia tłumowi i prawi komplementa paryżanom, Alexandri chwali, co godne pochwały, lecz karci i ostro karci wady swojego narodu; poglądy Wiktora Hugo często nie wytrzymują krytyki zdrowego rozsądku, Alexandri jest zawsze trzeźwy i jasny, to też spuścizna, jaką po sobie zostawi przyszłym pokoleniom Rumunii jest rzeczywiście wielką, bo jest to skarb uroczej mowy i estetycznej twórczości, skarb zacnych uczuć i wzniosłych dążeń, a więcej od poety wymagać niepodobna.

Ci, którzy pod wpływem ciasnego systematu nierozważnie twierdzą, że poezya skończyła już swoje przeznaczenie w rozwoju ludzkości i nie ma nic do czynienia w XIX wieku, niech raczą poznać wpływ utworów Alexandri na odrodzenie się rumuńskiego narodu, a przekonają się, że poezya jest i zawsze będzie wielką dźwignią dla uszlachetnienia i podniesienia ducha ludzkiego. Zapewne jak jaka poezya... Dla rozgłośnej pieśni, oprócz talentu, jeszcze głębokich myśli i gorących uczuć potrzeba. Kto nie wie dla kogo i dlaczego śpiewa, z pewnością wiele nie wyśpiewa, choćby tomy napisał...

Alexandri liczy obecnie 61 rok życia. Bez wątpienia jeszcze nie jeden wykończony utwór wyjdzie z pod pióra jego, bo wiemy, że poeta nie zaprzestał pracować... Wszelako już dzisiaj niespożyta sława zdobi sędziwą skroń jego podwójnym wieńcem twórczości i zasługi, a zaiste niewiele poetów takim wieńcem poszczycić się może.

Do Bazylego Alexandri

„Księcia Rumuńskiej pieśni”.

Twojej lutni luby dźwięk,
Zacnej duszy wzniosły śpiew,
Twego serca ból i jęk,
Dla twych braci bujny siew.

Ty oddychasz życiem nowem,
I to życie innym dajesz,
Gdy z twem słowem piorunowem.
Pośród tłumu jak wieszcz stajesz.

Jak po znoju czysty zdrój,
Wonny powiew w cieniu drzew,
Tak orzeźwia naród twój
Narodowej nuty śpiew.

Ty mu słodzisz dziejów bóle,
I ocierasz łzę odwieczną,
Ty mu wieszczysz lepszą dolę —
Przyszłość jasną i słoneczną...

A tej wieszczby cudna moc,
Tak zaciera smutku cień,
Jak rozpierzcha ciemną noc,
Nadchodzący nowy dzień.

W dniu Rumunów odrodzenia,
W tobie ducha ich potęga,
Bo gdzie dźwięczy głos natchnienia,
Tam już lepsze życie sięga.

Górą wieszczu! słucha tłum...
Gromem słowa piej mu, piej!
Ile w myśli świetnych dum,
Wszystkie w duszę jego wlej!...

A ta pieśń ożywczą siłą
Żywić będzie pokolenia,
Jako światło co świeciło
W dniu waszego wyzwolenia...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

KORESPONDENCYA

ZE LWOWA.

Kraków hałasuje. — Regulacya rzek w Galicyi i koleje. — Wiec w sprawie *Kółek włościańskich.—Bank krajowy* i kredyt tani. — Zapis 100,000 zlr. p. Czarkowskiej. — Szkoła kołodziejska. — Zakład Skarbkowski w Drohowyżu. — Koncerty i teatr. — Pobyt Królikowskiego. — Śliczne książki.

Niegdyś Lwów słynął z hałaśliwych przygód i zajść, dziś w tem celuje Kraków, który zwykle poważny, cichy, senny, od czasu do czasu wybucha jak wulkan. Niedawno podwawelski gród poruszył opinią publiczną w całej Polsce konkursem na pomnik Mickiewicza, teraz sprawą budynku nowego mającego pomieścić uniwersytet. Dać kawałek plant pod gmach uniwersytecki, czy nie dać? to była kwestya. Dziwna to gospodarka podług której zakładają się naprzód fundamenta a potem żąda się gruntu, w którym te fundamenta

już są założone. Ruszyła się Rada miejska krakowska, cała publiczność, która plakatami wojnę prowadziła, dziennikarstwo a nawet i najwyższe władze autonomiczne.

Drobne sceny nas zajmają, widocznie Kraków nie ma ważniejszych. Szczęśliwy Kraków! Tymczasem trapią nas pożary bardzo częste a nawet i wylewy wód.

Właśnie delegacya polska do Rady państwa podała ministerstwu ogromny memoryał o regulacyi rzek w Galicyi, gdzie co rok woda zabiera lub zasypuje piaskiem wielkie obszary najżyzniejszych gruntów, tylu ludzi do nędzy doprowadza i kwotę podatkową ogromnie zmniejsza. Od stu lat rząd daje paręset tysięcy na roboty wodne, ale te drobne roboty za drobne pieniądze, woda corocznie zabiera i nowe szkody robi. Otóż od wielu lat Sejm i opinia domagają się, aby rząd dostarczył wielkiego kapitału, którym by pozwolił tak wielkie roboty przeprowadzić, żeby raz na zawsze kraj od wylewów zabezpieczyć.

Zawiązała się spółka inżynierów, którą stara się o koncessyą na urządzenie stałej żeglugi na Dniestrze i to na przestrzeni 240 kilometrów; projektowane są nowe linje kolei żelaznej; do budowania Podkarpackiej i Jarosławsko - Sokalskiej mają przystąpić. Rzecz szczególna, że wszystkie te tak użyteczne prace z dziedziny zamiarów wydostać się nie mogą.

Powstał tu także nowy zamiar: gorętszego zajęcia się *Kółkami włościańskiemi*.

W tym celu sprowadzono nawet p. Miarkę ze Szlązka i w pierwszych dniach maja zwołano wiec, w którym wielka liczba chętnych ludzi udział wzięła. P. Miarka miał mowę, po nim inni głos zabierali a w końcu uchwalono: „że Kółka włościańskie są potrzebne!!” Wszystko to dobre w teoryi. Łatwo w mieście uchwalać zakładanie Kółek.

Tu o co innego chodzi, nie o postanowienia. Kto je ma u nas zakładać po wsiach? kto się niemi zajmować? kto je prowadzić? Żebyśmy 365 wieców rocznie odbywali w mieście o 10 pięknych mowach i tyluż rezolucyach, ani jedno kółko z tego nie powstanie. Jeżeli na wsi jest człowiek odpowiedni, to kółko założy i prowadzić je będzie; a jeśli takiego nie ma, to założone nawet, wkrótce zamrze.

Toż samo myślimy o uchwalonym przez Sejm *Banku krajowym*, a który wkrótce wejdzie w życie. Zapewne ważna to rzecz dla całego kraju mieć tani kredyt: nic zbawienniejszego dla rolnictwa, handlu, przemysłu jak zakład dostarczający na zawołanie gotówki po 5% zamiast 18% i to na czas dłuższy. Wszystko to prawda, jeśli się mówi o kraju z ludnością wychowaną dobrze, pracowitą rozsądną i umiejącą grosza używać.

Dla ludności leniwej i lekkomyślnej łatwy i tani kredyt jest to pistolet nabity, ułatwiający samobójstwo. Na punkcie łatwego i taniego kredytu zbałamuceni jesteśmy wszyscy: od lat 15 założono banków mnóstwo, a czyż one przyczyniły się do rozwoju rolnictwa, handlu lub przemysłu? czy ocaliły większą lub mniejszą własność ziemską, czy uwolniły od lichwy kogokolwiek? U nas bank nie jest na to, żeby w nim czerpać środki do podniesienia, zasilenia warsztatu na którym się pracuje, ale na życie wygodniejsze lub wystawniejsze, na podróż za granicę, na jedwabie dla pani, lub powóz dla pana.

Im więcej banków w Galicyi, tem większa nędza. Dlatego cieszymy się więcej z ukazania jednego dobrego rzemieślnika niż z największego banku, szczególniej że nasze finansowe zakłady żyją z odsetek a nic nie wkładają w znaczniejsze przedsiębiorstwa, kopalnie, budowy dróg żelaznych, fabryki, wszystko przechodzi w ręce cudzoziemców a nasze banki spokojnie na to patrzą i wolą wygodnie pobierać procenta zwłoki.

My się cieszymy z takiego zapisu jakim świeżo obdarzyła Galicyę Felicya Marya z hr. Golejewskich Czarkowska, która przeznaczyła 100,000 złr. na stypendya dla kształcących się w kraju lub za granicą rzemieślników i na zasiłki dla już wykształconych a niemających za co założyć warsztatu.

Cieszymy się szkołą kołodziejską w Toustem, która uzyskała subwencyą Wydziału krajowego i może 300 uczniom potrzebnej nauki udzielać.

Cieszymy się Drohowyżem, gdzie się wychowuje 250 chłopców i 134 dziewcząt czyli razem 384 sierot. Z tych starszych dziewcząt 23 oddawały się rozmaitym zajęciom gospodarstwa domowego kobiecego, zaś 85 chłopców starszych kształciło się w różnych zawodach, mianowicie: 38 pracowało w warsztacie ślusarsko-kowalskim, 5 w blacharskim, 9 w kołodziejskim, 12 w stolarskim, 11 w szewckim i 9 w krawieckim. Fundacya Skarbkowska wykazuje 3½ miljona majątku z którego jest przeszło 300,000 dochodu. Majątek ten i dochód zwiększać się nawet będzie teraz, gdy wydział krajowy rozciągnął ściślejszy dozór.

Mieliśmy w ubiegłym miesiącu powódź koncertów; różne były owe koncerta, lepiej nikogo nie obrażając oględne zachować milczenie. O teatrze już wam pisałem, że się rozsypuje — teraz jeszcze kilku wybitniejszych artystów wyjeżdża na urlop: pytamy się siebie kto grać będzie? Ale w tem głowa dyrektora, który bez aktorów i bez reporterów chce robić majątek. W takim stanie rzeczy zjawił się Królikowski; łatwo pojąć jaką to było dla Lwowa biesiadą, widzieć tego sumiennego i znakomitego artystę. Królikowski występował w najcelniejszych rolach swoich: w Narcyzie Rameau, Montjoye, Szyloku a nawet w Edypie. Uniesiona publiczność przyjmowała go z zapałem i obsypała bukietami i wieńcami. Artyści zaś i koło literackie podziękowało mu piękną ucztą, do której zasiadło około 150 osób. Członek wydziału krajowego wniósł pierwszy toast, poczem przemawiał wierszem p. Wł. Bełza i Aureli Urbański, prozą p. Sawicki właściciel dziennika polskiego, a nakoniec wymowny rabin pan Loewenstein. Wszystkie artystki obecnością swoją okrasiły tę ucztę, która trwała do 11-ej i do tej godziny zupełnie poważny miała charakter. O 11-ej Królikowski, dygnitarze, reprezentanci Koła Literackiego i kół naukowych opuścili salę.

Rozgawędziłem się chcąc znotować wszelkie sprawy zajmujące nasz ogół i nie spostrzegłem, że mój list urósł nad miarę, a należy się przecież wzmianka nie festynom ogrodowym, których kolej nieprzerwana się zaczęła — ale książkom. Jak w mojej ostatniej gawędzie powiedziałem, że u nas niepojęte są przeskoki (nie *przeszkody*, jak wydrukowano) sprawdza się to i w ruchu piśmienniczym. Długą martwotą przerywa nagle zjawienie się niespodziewane wielu na raz dzieł, z których tylko dla braku miejsca, najważniejsze przytoczę.

Na czele muszę, przez wzgląd na czytelniczki „Tygodnika”, położyć książkę p. Selingerowej: „Obowiązki kobiety każdego stanu w zakresie gospodarstwa domowego”. Gorąco zalecamy tę książkę (której braki i niedokładności niektóre widzimy) pełną doskonałych wskazówek. Może ona służyć za kierowniczkę, może nawet nietylko pouczyć ale wlać i pewną otuchę, wykazując, że owe drobne, prozaiczne na pozór zajęcia, mają wielką społeczną doniosłość. Dzieło zawiera pięć oddziałów: 1-szy mówi o zarządzie gospodarstwem, 2-gi o zakupnie, 3-ci o przechowywaniu żywności, 4-ty o przemyśle domowym: 5—7 o ważności hygieny w gospodarstwie kobiecem. Książka wyszła nakładem domu Gubrynowicza i Schmidta, którzy działalnością swoją w różnych kierunkach istotne oddają naszemu społeczeństwu zasługi. Taż sama księgarnia wydała śliczny obrazek przyrodniczy: „Skowronek” przez znakomitego naszego ornitologa Kazimierza hr. Wodzickiego. Tamże wyszły „Ferye Alpejskie” znanym stylem Lucyana Tatomira skreślony opis Salcburgskiego i Tyrolu. I jeszcze u Gubrynowicza i Schmidta tom rzewnych „Wspomnień z nad Wilii i Niemna”, Edwarda Pawłowicza. Wiele drogich nam chwil i miejsc dotyka ta książeczka z wielkiem uczuciem spisana. Łukaszewicz wydał w swej „Bibliotece nowości”: Zielińskiego „Z życia poety” (Seb. Klonowicza) i Koszczyca „Wybrańcy ludu”. Jak widzicie ładna wiązanka, a opuszczam drobniejsze przedruki i dzieła zbyt specyalne. Wspomnę jeszcze, bo to i paniom przydać się może jako nauka, jak zwiększać dochody na wsi: „Ogrodnictwo lasowe” H. Cwiklińskiego. Jest to myśl, która dobrze zastosowana nie jednego może ściągnąć dukata do woreczka naszych zawsze pięknych acz nie zawsze skrzętnych gospodyń.

NOWE WYDAWNICTWA.

Krótka Gramatyka polska, ułożona przez Wincentego Dawida, wydanie piąte pomnożone i poprawione. Cena kop. 40. W Warszawie skład główny w księgarni Teodora Paprockiego ulica Chmielna Nr. 8, w Lublinie w księgarni Józefa Szymońskiego hotel Wiktorya.

Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, zeszyt XXX tomu trzeciego, obejmuje od folwarku szlacheckiego Janiczyn nad Dzisną, aż do osady młynarskiej Jasionka w powiecie Nowomińskim. Każdy zeszyt kop. 50 na miejscu: z przesyłką kop. 60. Adres do przesyłania pieniędzy i artykułów: Filip Sulimierski, Warszawa Nowy-Świat Nr. 59 a od 1-go Lipca Ś-to Krzyżka Nr. 17.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Od kilku dni bawi w Warszawie młody literat czeski p. Władysław Howorka, jeden z przodowników tak zwanej „czesko-polskiej wzajemności” i pierwsza artystka czeska panna Marya Sittowa.

P. Sittowa, którą publiczność powitała i przyjmuje z tak serdecznem uznaniem, pochodzi z artystycznej rodziny. Zmarły jej ojciec, utalentowany artysta skrzypek, był w Pradze wysoko cenio-

nym i bardzo popularnym; jeden brat jest dyrektorem opery na prowincyi w Czechach, drugi w Nicei; młodsza siostra ukończyła z odznaczeniem studya jako śpiewaczka i zaczęła już występować na scenie. Dzisiejsza primadonna opery czeskiej, od dziecinnych lat zwracała uwagę znawców. W r. 1873 wystąpiła po raz pierwszy na scenie teatru narodowego w Pradze, i niebawem zjednała sobie uznanie i względy publiczności. W r. 1879, podczas obchodu srebrnego wesela cesarskiej pary, przybyła do Wiednia i występowała w Burgu z wielkiem powodzeniem; wszystkie gazety oddały jej zasłużone pochwały, a dyrekcya Burgu ofiarowała bardzo korzystne warunki, pragnąc zaangażować stale — ale Sittowa nie chciała dla materyalnych zysków opuścić rodzinnej sceny. Krytyka prazka podnosi znakomitą technikę panny Sittowej, chwaląc jej śpiew zarówno w partyach dramatycznych jak i koloraturowych. Do najświetniejszych jej partyi zaliczają role: Normę, Walentyny w „Hugonotach", Małgosi w „Fauście", Violetty, Mignon. Z czeskich utworów śpiewa Marzenkę w „Sprzedanej narzeczonej", Smetany występuje w roli Wandy w operze tejże nazwy, Dworzaka (libretto osnute na tle dziejów polskich), Leili w operze Bendla i Libuszy w pięknej operze pod tąż nazwą, Smetany. Oprócz tego występując na estradach koncertowych, rozpowszechnia narodowe pieśni czeskie, polskie i inne słowiańskie. Halkę Moniuszki Sittowa śpiewała trzy razy.

Franciszek Władysław Howorka, wcześnie bardzo rozpoczął zawód literacki; jeszcze jako uczeń gimnazyum w Klatowie, był współpracownikiem pism humorystycznych wydawanych w Pradze, i napisał powieść historyczną drukowaną w tygodniku „Szumavan". Przybywszy do Pragi dla uczęszczania do uniwersytetu, więcej jeszcze oddawał się pracom literackim i artystycznym. Jako felietonista występował najpierw w „Narodnich listach" i w „Pokroku", a jednocześnie był współpracownikiem poważnego miesięcznika „Kwety" i czasopisma „Dalibor" wyłącznie poświęconego muzyce. Jeszcze przed ukończeniem wydziału prawnego na uniwersytecie, został redaktorem miesięcznika „Ruch" będącego organem młodych literatów czeskich. Następnie założył nowe pismo „Diwadelni listy" zajmujące się wyłącznie teatrem, którego Howorka wielkim jest miłośnikiem.

Howorka jest jednym z przodowników wyż wspomnianej „wzajemności" rozwijającej się tak pomyślnie pomiędzy nami a czeskimi naszymi pobratymcami od lat kilku, a którą zawdzieczać należy jemu, Tonner'owi i Jellince. Oni to założyli w Pradze „Koło polskie" które tak pożądane wydało owoce. Ukazały się liczne, studya i prace o rzeczach polskich i Polsce; zaczęto tłomaczyć naszych pisarzy i poetów, obznajmiać się z arcydziełami naszej literatury i sztuki. Młodzi literaci czescy zaczęli uczyć się języka polskiego. „Jellinek studyował nasze społeczeństwo aby zdolnem piórem odtwarzać typowe jego rysy w pismach czeskich; Szpandel tłomaczy Kraszewskiego, Neczas przełożył „Maryę" Malczewskiego; Pokorny daje poznać rodakom utwory Bohdana Zaleskiego, Kwapil wydał dwa tomy przekładów arcydzieł Zygmunta Krasińskiego; Frycz tłomaczy Sienkiewicza i Orzeszkową, Mokry mniejsze utwory Słowackiego; Hudec „Sroczkę" Pługa; Eliza Krasnohorska nareszcie pracowała trzy lata nad przetłomaczeniem „Pana Tadeusza". Do najgorliwszych pracowników na tem polu należy Howorka. Jeszcze będąc w uniwersytecie, drukował w „Kwetach" obszerny życiorys Kraszewskiego, a w „Daliborze" dzieje opery w Polsce, podług źródeł polskich. Następnie dokonał licznych przekładów z polskiego: Kraszewskiego „Dziwadła", nowelle i drobniejsze utwory Okońskiego, Prusa i Sewera. Z dzieł dramatycznych przełożył: „Mazepę" i „Horsztyńskich" Słowackiego: „Królewicza Marko" Bron. Grabowskiego: „Artykuł 264" i „Spudłowali" Zaleskiego: „Kalosze" Fredry i „Teatr amatorski" Bałuckiego. Obecnie pracuje nad przekładem „Nietoperzy" Lubowskiego.

Nadto w „Diwadelni'ch Listach" umieszcza artykuły o naszej sztuce i życiorysy naszych artystów wraz z ich portretami oraz nader sympatyczne wspomnienia o naszym teatrze, a w „Dalibor'ze" listy o teraźniejszym ruchu muzycznym u nas. Widzimy z tego że Howorka pracuje gorliwie i wytrwale nad ustaleniem jak najściślejszych węzłów między sztuką i literatami dwóch pobratymczych ludów.

Howorka ma zaledwie 25 lat: mówi dobrze i pisze po polsku; obecnie już po raz drugi odwiedza Warszawę. Zamierza nabyć dla teatru prazkiego partytury: „Halki", „Strasznego dworu", „Ducha wojewody" i innych oper polskich. Jako rys malujący przekonania i dążenia Howorki, dodamy jeszcze iż małym synkom swoim dał imiona Wacław i Stanisław, będące jak wiadomo imionami patronów narodów które jak najścislej zjednoczyć pragnie.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie strojne wizytowe. Odpowiednie na zebrania wieczorne, składa się ze spódnicy z kolorowej materyi surah, zagarnirowanej falbanami z hiszpańskiej koronki i ze stanika bawetowego z białego wełnianego materyału. Panier z materyi surah zachodzące na stanik, z przodu zebrane jest pod kokardą z wązkiej wstążki, z tyłu złączone pod szeroką szarfą. Plastron z kolorowej materyi przysłonięty koronką, zwężony bawetowo.

Ubranie wizytowe. Przody vêtement podpięte à panier, krają się w jednym ciągu ze stanikiem, plecy zaś z krótką baskiną, dopełnione są długim prostym brytem, którego brzeg górny założony w podwójny nagłówek i sfałdowany, przyszyty jest na wierzchu baskiny i przewiązany wstążką. Spódnica złożona z plisowanych falban, uszyta z ciemnej materyi surah, podgarnirowana wąziutką falbaneczką jasną; vêtement z miękkiego jedwabnego materyału satin à pois. Szeroki kołnierz i mankiety z żółtawej koronki.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 3 Іюня 1882 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego** Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 24, r. 1882.

LABIRYNT.

(Within The Maze.)

Przez

MISTRES H. WOOD.

(Dalszy ciąg.)

Oddaliła się szybko nie oglądając się wcale, wraz z komisyonerem niosącym za nią paczki.

— Kto to może być? rzekła Łucya wsiadając do powozu, przy którym stał Idzi, niedawno przyjęty lokaj; dziwiło ją że nieznajoma pani nie miała innych pakunków, prócz kilku małych paczek.

— To mistress Grey, milady, ta pani co mieszka w Labiryncie.

Trudno byłoby opisać jak przykrego wrażenia doznała w tej chwili Łucya. Więc to ta kobieta!... I ona siedziała z nią w jednym powozie... rozmawiała grzecznie, jakby z równą sobie!... To była mistress Grey!... O! Teresa miała słuszność że twarz jej mogłaby służyc za model do jakiego anioła.

— Cóż to się stało, droga lady Andinnian, że jesteś tak bladą? Czy to skutek gorąca?

Łucya była tak odurzona w tej chwili, że prawie bezwiednie podała rękę osobie która do niej mówiła; była to miss Patchett, stara panna znana ze swej ekscentryczności, mieszkająca na pół drogi od stacyi do wsi Foxwood. Łucya zapytała jej czy także przyjechała koleją.

— Tak, odpowiedziała miss Patchett, jeździłam do Londynu aby tam zgodzić sobie służącę. Umieram ze znużenia, moja droga, zdaje się że ulice Londynu są brukowane rozpalonemi węglami. Tak chciałabym już być u siebie, nie męcząc więcej jeszcze biednych nóg moich.

— Mogę cię odwieźć, miss Patchett.

— Nie warto, moja droga; mieszkam ztąd nie bardzo daleko, a musiałabyś zboczyć z drogi.

— Cóż to znaczy, siadaj przy mnie, miss Patchett.

Miss Patchett usiadła obok Łucyi, powóz ruszył a wkrótce potem zatrzymał się przed drzwiami starej panny; miss Patchett wysiadła, furman zawrócił konie i pojechał już prosto do Foxwood.

— Oddałabym chętnie cząstkę życia gdybym mogła wymazać na zawsze z pamięci to wspomnienie, mówiła do siebie myśląc o spotkaniu z mistress Grey, o spotkaniu tak upokarzającem dla niej. Jakimże cierpkim tonem przemówiła do furmana gdy jej powiedział że powóz jest zamówiony dla lady Andinnian! Jak zbladła nagle! A ja chciałam ją jeszcze odwieźć do domu. Oh! sama myśl o tem jest dla mnie męczarnią!... Może w tych paczkach były podarunki które Karol kupił dla niej w Londynie!

Powóz dojeżdżał do Labiryntu, Łucya bezwiednie zwróciła oczy na otaczającą go kratę, i oderwać ich od niej nie mogła. Jakaś kobieta w średnim wieku otworzyła furtkę i odebrała paczki od komissyonera; mistress Grey wyjęła woreczek aby zapłacić mu za odniesienie i jednocześnie spojrzała na lady Andinnian, a spojrzenie jej zdradzało żywe zajęcie; nie było w niem jednak cierpkości ani ostrości. Łucya odwróciła głowę i z przeciwnej strony spostrzegła p. Smith'a. Wychylił się do połowy z okna swego saloniku i z widoczną ciekawością przypatrywał się tej scenie. Łucya cofnęła się prędko w głąb powozu, zakrywając rękami twarz rozpłomienioną.

— A! czyż może być straszniejsze położenie! zawołała łkając, czyż zdołam żyć tak dłużej, na tak okropne wystawiona próby!...

Powóz stanął przed dworem. Hewitt ukazał się na progu, a Idzi pomógł pani wysiąść.

— Czy sir Karol powrócił? zapytała Hewitt'a.

— Nie jeszcze, milady.

Zawahała się chwilkę, poczem kazała woźnicy zaczekać i weszła do domu. Przyszło jej na myśl że rozum straci jeźli nie usłyszy od kogoś słów pociechy, których serce jej tak bardzo potrzebowało.

— Hewitt'cie, pojadę odwiedzić miss Sumnor; chciałabym zawieźć jej koszyczek truskawek i wiązankę najpiękniejszych kwiatów, powiedz ogrodnikowi żeby mi to przygotował i włóż do powozu.

Poszła prędko do swego pokoju zmienić strojny ubiór na lekką muślinową suknię i słomkowy kapelusik — była teraz ubrana tak skromnie jak mistress Grey. Hewitt podał jej do powozu koszyczek ananasowych truskawek, z jakich Foxwood-Court słynęło w całej okolicy oraz pięknie ułożony bukiet z najrzadszych kwiatów oranżeryjnych, i powóz ruszył ku plebanii.

— Czy mam czekać na milady? zapytał woźnica.

— Nie trzeba, wrócę piechotą.

Małgorzata była sama jak zazwyczaj — twarz jej zdradzała głęboki smutek. Łucya podała jej truskawki i bukiet; biedna samotnica odetchnęła wonią ślicznych kwiatów i łzy stanęły jej w oczach.

— Jakżeś ty dobra, Łucyo, przynosisz mi ten podarek aby mnie rozweselić; i dziś miałam wiele przykrości, co spowodowało większe osłabienie i gorzki smutek.

Te łzy i zwierzenia biednej chorej, wywarły na Łucyi nader bolesne wrażenie, skutkiem tego nie była w stanie zapanować nad własnem cierpieniem, uklękła przy łóżku Małgorzaty i kryjąc twarz na jej łonie, gorzkiemi zalała się łzami.

— Ach! Małgorzato! zawołała płacząc, wierzaj mi, ja cierpię stokroć więcej... Całe życie moje jest jednym nieprzerwanym ciągiem łeż i boleści... serce mi pęka.... Ach! przemów do mnie jak to umiesz, natchnij mnie wytrwałością i odwagą!

Usłyszawszy te słowa, Małgorzata jakby cudem zapomniała o własnych smutkach i przykrościach starając się uspokoić stroskaną Łucyę. Przytuliła ją do siebie, głaszcząc po twarzy i głowie jakby dziecko które uspokoić pragniemy, i nareszcie Łucya przestała płakać.

— Zanim zacznę mówić z tobą, kochana Łucyo, pozwól zadać sobie jedno pytanie: Czy możesz wyjawić mi powód swego zmartwienia?

Łucya milczała.

— Jak widzę chodzi o coś takiego czego powiedzieć nie możesz?

— O! tak, Małgorzato, nie mogę zwierzyć się ani tobie ani nikomu na świecie. A! jakże ciężko dźwigać takie brzemię!

— Widzę że cierpisz — choć nie znam powodu zmartwienia; ale wierzaj mi, Łucyo, nie ma tak strasznych cierpień aby nie można było znaleźć na nie ulgi i pociechy.

— Nie ma i nie może ich być dla mnie! zawołała z rozpaczą, widać Bóg mnie opuścił!

— Nie mów tak, Łucyo, bo sama w to nie wierzysz. Po za najczarniejszemi chmurami jasne kryje się niebo, choć my przez chmury te dopatrzeć go się nie możemy... jednakże nadejdzie chwila że mgły się rozproszą, odsłaniając błękit nieba. Bóg czuwa nad każdem stworzeniem, więc i ty zaufaj Jego miłosierdziu.

Łucya milczała. Serce nasze miewa chwile takiego zniechęcenia i zwątpienia, że na razie nic nie zdoła przynieść mu ulgi — wtedy samo nawet współczucie go nie wzrusza. Pochyliła głowę zasłaniając twarz rękami i zaczęła rozmyślać nad położeniem swojem. Lecz w którąkolwiek zwróciła się stronę — nigdzie nie widziała ucieczki ani ratunku. Obowiązek i smutne położenie w jakiem się znajdowała, ciężką w duszy jej staczały z sobą walkę. Małgorzata nakłaniała ją do cierpliwości, poddania się woli Bożej, znoszenia mężnie prób na jakie niebo ją skazało; mówiła że nie należy tracić nadziei, ale cierpieć w milczeniu, dobrem za złe odpłacając — były jednak chwile iż coś szeptało jej aby całkiem przeciwną obrała drogę, co i obecnie miało miejsce. Jednak ilekroć pomyślała o odwecie i zemście, zawsze powstrzymywała ją obawa: czy kiedyś gorzko nie pożałowałaby tego.

— Łucyo droga, rzekła chora smutnym swym głosem, nie chcę badać powodu twych trosk i zmartwień, jednakże muszę przypuścić że zaszło jakieś poróżnienie między tobą a mężem...

— A jeźli tak jest?

— Jeźli tak jest powtórzę ci zawsze jedno: *trzeba cierpieć i znosić.* Nie masz pojęcia jak ciężkiem jest życie kobiety rozłączonej z mężem. Znam jedną zostającą w takiem położeniu.... Nie znasz jej nawet z nazwiska, gdyż nie mieszka w tych okolicach. Była ona na pensyi z moją matką, gdzie zaprzyjaźniły się z sobą. Wyszła młodo za mąż, i powszechnie uważano że, jak to mówią, świetną zrobiła partyę. Niedługo po ślubie, w sercu jej zbudziła się zazdrość, do której *rzeczywiście mąż dawał powody,* gdyż był to człowiek lekkomyślny, płochy, uganiający się za uciechami światowemi. Przez lat kilka wiele rzeczy znosiła w milczeniu, tak że nikt nie domyślał się nawet zachodzących między nimi nieporozumień. Ja dzieckiem byłam wtedy, ale ojciec mój zna dobrze smutne szczegóły tej historyi! On i matka moja byli jedynymi jej powiernikami, i usiłowali wszelkiemi sposobami skłonić ją aby cierpiała w milczeniu, polecając Bogu swe krzywdy i zmartwienia. Długo szła za ich radami, ale przyszła chwila gdy oburzona do najwyższego stopnia, zażądała separacyi, na którą mąż zezwolił. Dowiedziano się o tem z niemałem zadziwieniem — ale wtedy to dopiero rozpoczęło się dla niej życie trosk i udręczeń. Przez kilka tygodni czy miesięcy po nastąpionem rozłączeniu, podtrzymywało ją rozdrażnienie, zadowolniona zemsta, rozgłos wywołany tą sprawą i nie wiem już co wreszcie... ale minęły miesiące, minęły lata, rozdrażnienie się uspokoiło — i wtedy zrozumiała doniosłość uczynionego kroku, zrozumiała że nie ma celu życia, że została samotną i opuszczoną, skazaną na odosobnienie, pozbawioną uczuć rodzinnych... i gorzki żal szarpał jej zbolałe serce. Po-

wiedz, Łucyo, czyż nie byłaby mniej nieszczęśliwą gdyby mężnie znosiła bolesne dopuszczenie, Bogu polecając ciężką swą dolę?

— Cóż się z nią teraz dzieje?

— Rok za rokiem mijał jej w najzupełniejszem osamotnieniu, i nie ma dnia w którymby nie żałowała gorzko zgubnego swego postanowienia, i ceną życia okupiłaby chętnie możność cofnięcia fatalnej separacyi.

— A mąż? zapytała Łucya.

— Mąż? o ile wiem żyje sobie wesoły i spokojny, rad że zupełną odzyskał wolność. Biedna kobieta sądziła że srodze zemści się nad mężem, tymczasem ta zemsta ją samą strasznym przygniotła ciężarem. I nie dziw, bo jakaż to bezmierna w takim razie zachodzi rożnica, między położeniem mężczyzny a kobiety. Mężczyzna — separat czy rozwiedziony—może podróżować i przebywać gdzie mu się podoba, bawić się, swobodnie używać życia — i w ogóle nie mają mu tego za złe — przeciwnie rozsądna i przyzwoita kobieta, musi zamknąć się w domu i zupełnie usunąć od świata. Opowiedziałam ci tę smutną historyę abyś z niej wyciągnęła korzyść dla siebie, zaklinam cię, Łucyo, *co bądź być może nie opuszczaj domu męża.*

Lady Andinnian westchnęła ciężko, czuła całą prawdę słów Małgorzaty.

— Nigdy nie rozstałabym się z mężem w taki sposób jak ta nieszczęśliwa kobieta, rzekła po chwili, prędko bardzo umarłabym ze zmartwienia.

— I ja tak sądzę, to też jak bądź ciężki krzyż dźwigać ci przyszło, weź go mężnie na barki swoje, pomnąc na to że tylko ten kto znosi go z poddaniem, pewnym być może korony niebieskiej.

W tej chwili weszło kilka dziewcząt ze szkółki, które Małgorzata uczyła szyć i robót kobiecych— Łucya wstała i pożegnawszy się odeszła. Nie znalazła jednak spodziewanej pociechy, czuła się zawsze równie nieszczęśliwą.

Była godzina piąta, z kościołka parafialnego odezwał się dzwonek zwołujący na wieczorne nabożeństwo, które pastor Sumnor odprawiał teraz codziennie, od czasu powstania kaplicy ś. Hieronima. Lucya pomyślała że może w modlitwie znajdzie ulgę i uspokojenie, i weszła do kościoła. Zamiast jednak do swej zanadto widocznej ławki, weszła do stojącej w ciemnym kącie w pobliżu drzwi, po za filarem, którą w niedzielę zajmowali ubodzy oczekujący jałmużny. Tam nikt jej nie widział. Padła na kolana i gorzkiemi zalana łzami wzniosła serce ku niebu, błagając Boga o miłosierdzie, o pomoc i siłę wytrwania i znoszenia z poddaniem ciężkiej doli swojej.

Wychodząc po skończonem nabożeństwie, zauważyła że kilka zaledwie osób było na niem obecnych. O kilka kroków od drzwi kościelnych, zbliżył się do niej pastor Sumnor i miss Dianna, siostra p. Moore.

— Nie wiedziałem że milady była w kościele, rzekł pastor.

— Zadzwoniono gdy wracałam od Małgorzaty, więc weszłam do kościoła, odrzekła, ale jakaż to mała liczba wiernych była obecną.

— Bo, nie obwijając w bawełnę, prawda wyznać każe że w ogóle u nas nie troszczą się o codzienne a szczególniej wieczorne nabożeństwo, rzekła miss Moore, osoba otyła i nie młoda, a młode panny biegają znów jak najęte do nowomodnej kaplicy św. Hieronima — czyli raczej do p. Cattacomb. Są tam moje siostrzenice, a co gorzej są i córki twoje panie Sumnor.

Pastor, był to blady, siwowłosy starzec, wyraz twarzy jego i głos tchnęły głębokim smutkiem.

— Ta nowa kaplica jest w mojem przekonaniu prostem zgorszeniem, i nabawia mnie niezliczonych przykrości i zmartwień, odrzekł pan Sumnor, ale któż z nas wolnym jest od różnych udręczeń i smutków, każdy powinien znosić je z poddaniem, pomnąc na to „że kogo Pan Bóg kocha, krzyże mu zsyła.” Żegnam cię, milady, dodał, moje uszanowanie sir Karolowi.

Ostatnie słowa pastora silne na Łucyę wywarły wrażenie; zwróciła się ku domowi, czując w duszy pewne uspokojenie. Rozważając ów ustęp z pisma św. znalazła w nim pocieszenie, zrozumiała słabość swoją. Widziała teraz iż nie pozostaje jej jak tylko polecić się opiece Boga i jak opuszczone dziecię u niego szukać wsparcia i pociechy. Westchnęła z głębi duszy i błagalnie podnosząc ręce, zawołała:

— Panie! weź mnie pod swoją opiekę, bom biedna i uciśniona!

XXI.

Ciężkie przejście.

Łucya powróciła przed samym obiadem; zaraz wszedłszy do domu spotkała się z mężem. Podbiegł ku niej wyciągając rękę, a ożywiona twarz jego nie zdradzała najmniejszego śladu winy lub zawstydzenia.

— Myślałaś może żem zaginął w Londynie?

Było to w przedsionku; Hewitt i Idzi stali o kilka kroków, nie usunęła mu więc ręki. Sir Karol spostrzegł że miała zapłakane oczy.

— Zamierzałem wrócić prędzej ale mając przed sobą kilka godzin czasu, załatwiłem niektóre niezbędne sprawunki... co zatrzymało mnie dłużej niż myślałem.

— Jakże się miewasz Łucyo?

— O! doskonale.

— Nie zgadniesz z kim jechałem — oto z dawnym przyjacielem moim, kapitanem Lamprey. Jechał w interesie do Basham, przywiozłem ci go na obiad. Ubierz się prędko, dodał, obiad już gotów.

— Zejdę natychmiast, odpowiedziała wchodząc na schody.

Agnieszka czekała na nią, w kilka minut zmieniła ubranie. Gdy zeszła do sali jadalnej, sir Karol przedstawił jej kapitana Lamprey, i ten podał jej rękę, prowadząc do stołu. Karolowi dostała się miss Blake.

Łucya zanadto cierpiała aby mogła okazywać wesołość. Oskarżały ją nabrzmiałe powieki, głos w którym niekiedy przebijało tłumione łkanie, co wprawiło kapitana w pewne zdziwienie. Przypomniał sobie że słynęła z piękności, słyszał iż odzyskała zdrowie i wesołość jak tylko rodzice zezwolili na związek z sir Karolem, a teraz miał przed oczyma kobietę tak smutną, widocznie nie bardzo szczęśliwą, a smutna i pobladła twarz wiele odejmowała uroku jej piękności. Karol okazywał niezwykłą wesołość; miss Blake podtrzymywała rozmowę zadając nieustannie pytania o Winchester i mieszkające tam osoby. Jednak pomimo powyższych spostrzeżeń swoich, kapitan Lamprey ani przypuszczał nawet aby zachodziły jakieś nieporozumienia między sir Karolem i jego żoną.

Obiad skończył się nareszcie, i po kawie kapitan pożegnał się i pojechał do Basham. Karol wyszedł z nim aby odprowadzić go do stacyi; miss Blake pobiegła na konferencyę z p. Cattacomb. Łucya więc pozostała sama: wszystko w domu wydawało się jej tak smutnem i ponurem, iż nie mogąc dosiedzieć w pokoju, wyszła do ogrodu. Ale wróciła niebawem po szal, przypomniawszy sobie iż gdy w przeszłą niedzielę wyszła tak bez okrycia, Karol zobaczywszy to przyniósł jej szal, owinął ją nim starannie i prosił na wszystko aby nie zapominała o przebytej chorobie, i nigdy nie narażała się na zaziębienie. Wiele kobiet poróżnionych z mężami, nie zważałyby na takie prośby i zalecenia, woląc się rozchorować, niż zastosować do nich, ale Łucya była z natury łagodną i uległą, a prócz tego, choć czuła boleśnie wyrządzoną sobie zniewagę, jednak zawsze całą duszą kochała Karola. Wydrzeć z serca miłość dla niego, nie było w jej mocy. Niekiedy, w chwilach rozmarzenia, wyobraźnia stawiała jej przed oczy obrazy uroczej przyszłości; smutki i zmartwienia jak sen się rozwiały; znikły zawady do szczęścia, była spokojna, nastąpiło pojednanie z mężem. W takich chwilach odżywała. Otulona szalem, przechadzała się wśród drzew i kwiatów, i siadając w ich cieniu zadumana, myślała sobie, słuchając ślicznego śpiewu słowika: Jakżeby to rozkoszne było miejsce pobytu, gdybyśmy pojednani żyli w miłości i zgodzie!... Ale mrok coraz więcej zapadający, dłuższe rozmyślania, sprowadzały zwykłe zwątpienie. Nie! nie ma już dla mnie szczęścia na ziemi! nigdy, nigdy nie zaznam spokoju!... i gorzkiemi zalana łzami, powróciła do swego pokoju.

Karol powrócił, a nie zastawszy żony na dole, udał się do jej saloniku. Od powrotu z Londynu, jeszcze ani słówka nie zamienił z nią bez świadków. Zapukał, a nie odbierając odpowiedzi, wszedł do saloniku. Nie było w nim nikogo; chwilkę stał nieruchomy, wtem doszedł go odgłos łkania z pokoju Łucyi. Zapukał do drzwi, wołając:

— Łucyo!

W tej właśnie chwili Łucya dała się owładnąć rozpaczy, jak to nie raz miewało miejsce — może wybuchy te przynosiły jej jakąś ulgę, gdy boleść ostatnich dosięgała granic. Przestraszyło ją zapukanie, gdyż nie słyszała wołania męża.

— Kto tam? zapytała po chwili tłumiąc łkanie.

— To ja, Łucyo, chciałem pomówić z tobą.

Otarłszy oczy, otworzyła drzwi i weszła do saloniku, przybierając spokojną i obojętną minę, o ile to było w jej mocy.

— Przepraszam cię, sir Karolu, byłam zajęta i nie słyszałam...

— Zdajesz się cierpiąca, Łucyo, rzekł z tkliwem zajęciem. Dostrzegłem to jak tylko cię zobaczyłem; tak wtedy jak teraz zaczerwienione oczy świadczą żeś płakała.

Wszelkiemi siłami starała się zapanować nad sobą, westchnęła do nieba aby ją natchnęło odpowiedniem męztwem; postanowiła sobie bowiem zamknąć się w dumnem milczeniu, odnośnie do nowej wyrządzonej jej zniewagi, jaką stanowiła bezspornie owa podróż do Londynu. Nie miała odwagi mówić o tym przedmiocie, wyrzucać mężowi jego niegodnego postępowania. Wychowana jak zwykle w Anglii w przesadnej prawie skromności, uważałaby to za ubliżenie sobie — a zresztą wszak i bez tego wiedział przecież co jest powodem jej udręczeń.

— Jestem dziś nieco znużona, rzekła; rano był ceremonialny lunch (luncz) u jenerała i mistress Lloyd, a potem wystawa kwiatów... Najwięcej może zmęczył mnie upał i parne, duszne powietrze.

— Tłomaczyłoby to znużenie i złe wyglądanie ale nie tłómaczy łez. Gdy zapukawszy czekałem odpowiedzi, dosłyszałem głośne łkania.

— No, tak, odrzekła słabym głosem, wiedząc iż

daremnie zaprzeczałaby temu — niekiedy wieczorem czuję się nadzwyczaj zdenerwowaną i znękaną.

— Cóż za powód...

— Czyż obecne życie nasze tak jest miłem i szczęśliwem, żebym zawsze mogła być i okazywać się wesołą? przerwała, a w głosie jej przebijała pewna niechęć.

— Ale wszakże położenie nasze jest wynikiem twego a nie mego postanowienia, *wiesz o tem dobrze*, Łucyo.

— A!... więc w takim razie słusznie abym ja sama cierpiała na tem!, odrzekła unosząc się, gdyż słowa męża rozdrażniły ją niewymownie... Dobrze, niech i tak będzie — nie mówmy o tem!

Karol stał naprzeciw niej z zakrzyżowanemi na piersiach rękami. W obec tak niepojętego w jego przekonaniu kaprysu i obojętności żony, i on nareszcie zaczynał nieco tracić cierpliwość Przez chwilę milczeli oboje.

— Oto co chciałem ci powiedzieć, Łucyo. Jeździłem do Londynu aby spełnić gorące żądanie twoje... choć doprawdy nie mogę pojąć...

— Niczego nie pragnę gorąco, odrzekła szorstko.

— Chciej jednak, wysłuchać mnie. Objawiłaś mi żądanie na którego urzeczywistnieniu wiele ci widać zależy, skoro położyłaś je za warunek naszego pojednania. Mówię o... mieszkańcach Labiryntu, dodał z boleśnem wahaniem, zniżając głos. Od czasu ostatniej naszej sobotniej rozmowy, w której, jak zapewnie przypominasz sobie, uczyniłaś to zastrzeżenie, nastręczył się szczególniejszy, powiedziałbym wypadek -- gdybym wierzył że wypadek kieruje głównemi losami naszego życia — nastręczyła się pewna sposobność dozwalająca mi spodziewać się iż może zdołam spełnić żądanie twoje...

— Wówczas powiedziałeś że jest to także najgorętszem twojem życzeniem, przerwała żywo—ale może nie myślałeś tego.

— Nie możesz pragnąć tego goręcej odemnie! odrzekł Karol. Codziennnie błagam Boga aby to stać się mogło.

Słowa te wyrzeczone były z tak silnem wzruszeniem i tak głęboką tchnęły szczerością, iż Łucya musiała im uwierzyć.

— Tak więc, mówił dalej, sądząc że pewna okoliczność nastręcza mi upragnioną sposobność, pośpieszyłem do pp. Plunkett et Plunkett, w nadziei że będą mogli udzielić mi pewnych niezbędnych objaśnień.

— Sądzę że nie powinienbyś mówić mi o tem, rzekła wyniośle.

— Chciałbym przekonać cię że czynię co tylko jest w mej mocy. Plunkett et Plunkett nie umieli mnie w tem objaśnić, ale wskazali mi osobę mogącą udzielić mi żądanych wskazówek. Otóż dla widzenia się z nią musiałem nocować w Londynie, i to wstrzymało mój powrót.

Łucya słuchała obojętnie, obrywając gałązkę jaśminu.

— W rzeczywistości dotąd nic jeszcze nie wiem czy opuszczenie Labiryntu będzie możebnem — ale nie tracę nadziei. Sądzę że da się to uskutecznić—ale może jeszcze nie tak prędko.

— Mniejsza o to, odrzekła obojętnie, mało mnie to obchodzi.

Karol Andinnian posiadał najłagodniejszy i najzgodniejszy w świecie charakter, a smutny zbieg okoliczności nauczył go rezygnacyi i cierpliwości—pomimo to tak ubliżająca obojętność dotknęła go głęboko, zawołał więc unosząc się:

— Łucyo, jak możesz podobnie obchodzić się ze mną? czemże zasłużyłem na tak bezlitośne postępowanie? Czyż nie widzisz, czyż nie możesz pojąć jakie gwałtowne burze wstrząsają nieustannie mojem życiem, jak straszne przechodzę męczarnie! Chwilami gorąco przyzywam śmierci i powitałbym ją z radością, jako oswobodzicielkę od tak ciężkiego, okropnego życia!

Łucya miała dobre serce, usłyszawszy te słowa zrozumiała iż pomimo słusznego żalu posunęła się za daleko, przemówiła gniewnie i wyzywająco. Któż wie? może mąż jej rzeczywiście pragnął i starał się oswobodzić od mistress Grey?... to też twarz jej łagodniejszy przybrała wyraz.

— Jestem w położeniu człowieka uwikłanego w nierozwikłane sieci, a dni moje są jednym tak nieprzerwanym ciągiem trosk i udręczeń, iż zazdroszczę najbiedniejszym wyrobnikom rozbijającym kamienie przy drogach, i chętniebym się na ich los zamienił — mówił z coraz większem wzruszeniem -- słowem wolałbym być nie wiem czem, niż tą nieszczęśliwą istotą noszącą w świecie nazwę sir Karola Andinnian!... I trzebaż jeszcze aby żona moja którą tak głęboką ukochałem miłością i miałem prawo oczekiwań w zamian przynajmniej współczucia i pociechy, zwracała się przeciw mnie, ciężej jeszcze zatruwając mi życie. Niech ci Bóg przebaczy, Łucyo, to powiększanie moich cierpień i męczarni!..

Te słowa głęboko wzruszyły Łucyę; uniesiona żalem, wyrzucała sobie iż może za surowo osądziła męża, łzy stanęły jej w oczach i rzekła łagodnie:

— Czyż ja nie cierpię także, Karolu?

Spojrzał na smutną, łzami zalaną twarz żony, i w jednej chwili uniesienie jego zamieniło się w litość. Zbliżył się i ujął obie jej ręce których mu nie usuwała.

— Przebacz mi, Łucyo, chwilę uniesienia—oboje możemy mieć słuszny żal do siebie i wzajemnie powinniśmy darować sobie mimowolne winy.

Nie mogła odpowiedzieć — łkanie ściskało jej gardło. Karol pochylił się ku niej i ucałował namiętnie.

— Mamyż jeszcze dobrowolnie zatruwać sobie i tak już ciężkie życie? rzekł z uczuciem.

— Nic na to poradzić nie mogę. odrzekła łkając głośno — nie bierz mi tego za złe... przechodziłoby to moje siły.

-- A jednak gdybym koniecznie domagał się tego?

— Nie ośmieliłbyś się nigdy, zawołała, odzyskując panowanie nad sobą, a twarz jej zbladła jak gałązka jasminu którą trzymała w ręku. Dość już cierpię abym miała przyczyniać sobie udręczeń.

Karol westchnął ciężko, puścił ręce żony, i rzekł odsuwając się od niej:

— Chciałem jeszcze powiedzieć ci iż korzystając z dłuższego pobytu w Londynie, wyszukałem dla ciebie śliczny *poney-chaise...*

— Nie kupiłeś go przecie?

— Owszem, odstawią go tu za parę dni.

— Szkoda—bo zupełnie mi niepotrzebny. Zawsze jednak wdzięczna ci jestem że pomyślałeś o mnie.

— Kupiłem także do niego ślicznego poney'a, bardzo łagodny i doskonale utresowany, mam nadzieję że ci się podoba. Nie mogę pozwolić abyś zawsze chodziła piechotą po takiem gorącu, co mogłoby narazić cię na chorobę.

— Dziękuję ci... serdecznie dziekuję; ale nigdy w życiu nie miałam w ręku cugli, może nie umiałabym powozić.

— Dopokąd się nie nauczysz, sam cię powozić będę — jeźli raczysz pozwolić na to. Wierzaj mi, Łucyo, pomimo nieustannych trosk i udręczeń, ani chwili nie przestaję myśléć o twojem szczęściu i przyjemnościach.

Wychodząc zbliżył się do żony aby przed rozstaniem uścisnąć jej rękę; Teresa przechadzająca się po murawie, przez okno widziała ich rozmawiających z sobą, i mówiła sobie iż lady Andinnian zasłużyła po tysiąc razy na pręgierz Joanny Shore, za swój nierozsądek i brak poczucia godności własnej.

Łucya niedługo potem zeszła na dół i zasiadła z miss Blake do herbaty. Karol nie przyszedł, odbywał jakąś naradę z Hewitt'em.

— Wiesz, Tereso, będę miała *poney-chaise.*

— Doprawdy! odrzekła miss Blake będąca w bardzo złym humorze. Słyszałam, zdaje mi się, iż mówiłaś że go nie potrzebujesz i nie chcesz.

— Być może iż nastręczy mi to nie jedną przyjemność — wreszcie stało się, sir Karol go kupił i kazał tu odstawić.

Miss Blake pogardliwie wykrzywiła usta: Dogadza jej aby tem łatwiej oszukiwać, pomyślała.

— Dla czego masz zapuchłe i czerwone oczy, Łucyo? uważałam to już przy obiedzie.

— Czy tak? odrzekła wymijająco, to chyba z utrudzenia i z gorąca. Zmęczyłam się dziś bardzo... Szkoda że nie zwiedziłaś wystawy kwiatów, nie widziałam jeszcze tak pięknej.

— Żałuję — ale nie mogłam.

— Na stacyi spotkałam miss Patchett i odwiozłam ją do domu — mówiła Łucya, przeskakując z przedmiotu na przedmiot, aby odwrócić uwagę miss Blake. Jeździła do Londynu starać się o służącą... myślałam że zasłabnie tak była zgrzana... Wiesz co, Tereso, zdaje mi się że chyba nigdy nie było takiego upału.

— Przynajmniej trwającego tak ciągle, odpowiedziała. Czy sir Karol przyjdzie na herbatę?

— Nie wiem, mówi że herbata sprawia mu poty, odpowiedziała Łucya z uśmiechem. Bądź łaskawa zadzwoń, siedzisz bliżej dzwonka.

Wszedł Idzi, Łucya kazała mu iść zapytać sir Karola czy będzie pił herbatę. Księżyc świecił bardzo jasno, nie kazały zapalić lampy.

Sir Karol przyszedł, a widząc je oświecone światłem księżycowem, rzekł: Ach! jakże romantycznie wyglądacie! Księżyc roztacza do koła aureolę swych bladych promieni — a zwracając się do Łucyi, dodał: Proszę cię o filiżankę herbaty, ale bądź łaskawa dolej dużo zimnej śmietanki, aby nie była gorąca.

— Nie kazałyśmy zapalać jeszcze światła, aby chłodniej było w pokoju, rzekła Teresa.

Łucya podała mężowi filiżankę herbaty.

— Dziękuję ci, rzekł, i wypiwszy duszkiem, opuścił pokój. Łucya kazała sprzątnąć ze stołu i zapalić lampy, poczem porzuciła się na sofce, wziąwszy do czytania jedną z przywiezionych jej przez Karola powieści. Miss Blake wyszła do ogrodu.

Łucya czas jakiś trzymała książkę na odwrót; nareszcie odwróciwszy, trzy razy raz po raz odczytała jedną stronnicę. nic a nic nie rozumiejąc. A! teraz nie potrzebuje udawać spokoju i obojętności, jak w obec świata; sama ze swoim smutkiem może zaprzestać odgrywania niedorzecznej krotochwili!... Rzuciła książkę i zaczęła chodzić po pokojach, w których pootwierano wszystkie okna, dla wpuszczenia nie tak parnego wieczornego powietrza. Zatrzymawszy się chwilkę w jednym z nieoświeconych pokoi, zobaczyła Karola przechodzącego koło okien i niebawem usłyszała że wszedł do salonu.

— Łucyo! zawołał.

Nie odezwała się i stanąwszy za firanką, czekała nieruchoma. Wyszedł i zaczął przechadzać się po cienistej alei. Śledziła go wzrokiem, nagle znikł wśród drzew i niebawem usłyszała skrzyp otwierającej i zamykającej się kraty.

— Poszedł *tam*, rzekła sobie, i serce jej gwałtownie bić zaczęło, twarz siną pokryła się bladością.

Miss Blake z swej strony, przechadzając się w najwięcej zacienionej części parku i rozmyślając o panu Cattacomb'ie i nowych ulepszeniach jakie zamyślał zaprowadzić w swoich nabożeństwach, spostrzegła także sir Karola i śledziła jego kroki. Nie tracąc czasu, podbiegła do drugiej furtki w kracie, i uchylając ją, wyjrzała na drogę.

— Nie myliłam się, pomyślała widząc Karola idącego w kierunku tej odosobnionej miejscowości— idzie do Labiryntu... Jak ostrożnie przesuwa się pod płotem!...

Tego wieczora księżyc oświecał całą szerokość drogi, tylko płot gęsto liśćmi opleciony, rzucał nieco cienia. Miss Blake miała wzrok doskonały, dostrzegła więc że przemknąwszy się pod drzewami, Karol doszedł do kraty, otworzył sobie furtkę i wszedł do Labiryntu. I owa pobożna niby dusza pomyślała sobie: czemu ziemia się nie rozstąpi lub grom nie spadnie z nieba, aby unicestwić takiego potwora. Nie mogła pojąć jak Bóg może dozwolić aby żył w jednej miejscowości, oddychał tem samem powietrzem co nieskalany, świątobliwy Gwidon Cattacomb.

Jakże to często wiele osób tak fałszywie sądzi bliźnich, i zarówno jak miss Blake nie pojmują tego że wina jest po ich stronie, a słuszność po stronie innych.

XXII.

B r a c i a.

Zamknąwszy starannie kratę, Karol zapuścił się w zawiłe uliczki Labiryntu i wkrótce doszedł trawnika roztaczającego się przed domem. Księżyc jasno oświecał część jego, dostrzegł też zaraz i podbiegł ku przechadzającej się mistress Grey.

— Czy wróciłaś wczoraj, Różo? zapytał podając jej rękę.

— O! nie, dopiero dziś, zatrzymał mnie pan Bennet. Gdy przybyłam do niego, wyjeżdżał w jakimś ważnym swoim interesie i miał wrócić dopiero wieczorem — dla tego nie wykończył wczoraj mego obstalunku — co zmusiło mnie zatrzymać się do dziś rano.

— Dziwna rzecz żeśmy się nie spotkali, bo i ja wracałem dzisiejszym popołudniowym pociągiem. Czy nie zechcesz wesprzéć się na mojem ramieniu, Różo?

— Chętnie, odrzekła.

Miała na sobie czarną suknię, złote jej włosy żywo odbijały od niej; światło księżyca łamało się w ich połysku. Karol zauważył że silniej niż zwykle opierała się na jego ramieniu.

— Jesteś widzę bardzo zmęczona, Różo.

— Rzeczywiście, drogą już byłam znużona, ale Anna Hopley tak mi ciągle powtarza że ruch jest dla mnie niezbędnym, iż ulegając jej wyszłam na zwykłą półgodzinną przechadzkę; ale co prawda tak już byłam zmęczona chodzeniem za sprawunkami, iż teraz więcej siedziałam niż chodziłam. Nie byłabym wyjechała, gdyby nie konieczność udania się do Bennet'a.

— Gdzież Adam?

— Jest w domu. Skarży się ciągle na ten ból co mnie mocno niepokoi.

— A, niestety! dopokąd tu przebywa, nie może zasięgnąć rady doktora; ani wiem jak na to radzić.

— Bo rzeczywiście nie ma rady, odrzekła Róża. Ale, byłabym zapomniała co ci jeszcze mam do powiedzenia. Czy wiesz, Karolu, z kim jechałam dziś z Basbam do Foxwood.

— Tego wiedzieć nie mogę.

— Oto z twoją żoną!

— Co? z moją żoną.

— A tak. Jechałam sama z Londynu w wagonie damskim, dopiero w Basham wsiadła do niego młoda, elegancko ubrana osoba, w perłowej jedwabnej sukni i w białym kapeluszu; w ręku trzymała prześliczną parasolkę. Na dworcu towarzyszył jej jakiś niemłody pan, którego nazywała jenerałem, i kilka pań. Wsiadła do wagonu, w którym prócz mnie i jej nie było nikogo, i zdaje mi się że obiedwie nawzajem bardzo przypatrywałyśmy się sobie. Co myślała o mnie — nie wiem — ale mnie zdawała się śliczna, twarz jej pociąga urokiem słodyczy i dobroci. Głos ma także bardzo miły i dźwięczny, przed samem bowiem przybyciem do Foxwood, zaczęłyśmy trochę rozmawiać z sobą.

— Ale skądże wiedziałaś że to moja żona, czyście się znały kiedy? zapytał.

— Nigdy, i nie byłabym domyśliła się tego, gdyby nie małe zajście z oczekującym fiakrem. Ktoś odezwał się że jest on zamówiony dla lady Andinnian. Ach! gdybyś wiedział, Karolu, jak okropnie się przelękłam!...

— Z jakiego powodu?

— Czy nie pojmujesz... *dla lady Andinnian*! Wyobrażałam sobie że odnosiło się to do mnie, i zimno mnie przeszło na samą myśl grożącego niebezpieczeństwa. Strach ma wielkie oczy — a cóż dopiero odnośnie do mnie, żyjącej w ciągłych obawach i niepokoju. Przyszło mi na myśl iż wiedząc że będę wracać z Londynu, Adam kazał zamówić dla mnie ten powóz, i przez nieuwagę lub brawowanie, podał prawdziwe moje nazwisko... Była to myśl niedorzeczna, jednakże ją powzięłam. Oprzytomniałam jednak wkrótce i zrozumiałam że nazwa lady Andinnian, odnosiła się do pięknej mojej towarzyszki podróży, żony sir Karola. Zdaje mi się że przemówiłam coś do niej, ale tak byłam zmięszana, iż nie jestem tego pewna.

— Łucya nic nie mówiła mi o tem.

— Nic dziwnego; miała mnie za obcą, nieznaną sobie osobę, z którą przypadkiem spotkała się na kolei, i rozłączywszy się, nie myślała o mnie. Adam mówił że kochasz ją namiętnie — i poznawszy bynajmniej nie dziwię się temu.

Karol nic nie odpowiedział. Kochał żonę rzeczywiście bezgraniczną miłością, ale na jakże to ciężką próbę wystawiało go to jego uczucie!

— Ale wracając do interesu za którym jeździłeś do Londynu, powiedz mi, Karolu czy udało ci się zasięgnąć jakichś wiadomości o tym Filipie Salter?

— Bardzo niedostatecznych. Chciałem właśnie pomówić z tobą o tem, zanim zobaczę się z Adamem. Tyle się dowiedziałem że nigdy nie został schwytany powtórnie, i policya jest przekonana że się ukrywa w Anglii. Za ujęcie go wyznaczono 500 f. szt. nagrody.

— Zkądże wnoszą że znajduje się w Anglii? zapytała żywo.

— Tego nie wiem, nie chciano objaśnić mnie pod tym względem.

— Więc odniosłeś się do policyi — i nie obawiałeś się...

— Ależ nie do policyi, przerwał; widziałem się z pewnym tajnym ajentem, nazwiskiem Burtenshaw. Plunkett dał mi list do niego, i on też oznajmił iż pewny jest prawie że Salter nie opuścił Anglii — nie powiedział jednak na czem opiera to swoje przekonanie.

— Czy dał ci jego rysopis?

— Nie on, ale niejaki Grimley ajent, któremu uciekł. Przyzwał go Burtenshaw. Rysopis ten nadaje się doskonale do pana Smith'a.

— Oh! Karolu, on niezawodnie jest tym Salter'em.

— Czy Smith ma własne włosy? zapytał.

— Tak... to jest zdaje mi się, byłabym zauważyła gdyby nosił perukę — nie jestem jednak tego pewna. Ma włosy bardzo ciemne, a faworyty prawie czarne.

— Zgadza się to najzupełniej z rysopisem... Zdaje się Smith ma lat czterdzieści?

— I ja tak sądzę.

— Otóż powiedziano mi że Salter ma najwięcej trzydzieści pięć — ale to najmniejsza, skutkiem takich niepokojów, może wydawać się starszej.

— Cóż teraz zamyślasz czynić? zapytała po chwili. Pewna jestem iż gdyby nam się udało oddalić tego Smith'a i uwolnić od niego Adama, usunęlibyśmy połowę naszych obaw i niepokojów.

— Nie wiem jeszcze co robić. Najpierw należy wystrzegać się jak najstaranniej aby Smith nie powziął jakichś podejrzeń, dopokąd nie dowiemy się czegoś pewnego — żebyśmy zamiast ulgi, nie przyczynili sobie kłopotów.

— To ty, Karolu? a chodź że, mój stary, zawołał głos z okna. Czekam na ciebie, a ty sobie najswobodniej gawędzisz z moją żoną.

Karol podniósł głowę, skinieniem jej odpowiedział bratu, i wszedł do domu. Adam przywdział swój wieczorowy ubiór, i zdawał się wesoły i ożywiony. Nad schodami oczekiwał Karola, i razem weszli do saloniku, gdzie zazwyczaj zbierano się wieczorem. W salonie tym były drugie drzwi tak doskonale ukryte w boazeryi, iż oko nieświadomego nie zdołałoby ich dopatrzéć. Drzwi te wychodziły na korytarzyk nie mający żadnej komunikacyi z innemi pokojami, w końcu którego znajdowały się wązkie kręcone schodki, nie wiadomo gdzie prowadzące. Gdyby nawet niespodzianie policya zeszła do domu, Adam mógłby uciec lub przynajmniej probować ucieczki przez te kryte drzwiczki.

— Róża mówiła mi, że nie jesteś zupełnie zdrów, Adamie; podobno znów ból ten ci dokucza... Jak sądzisz, co może być tego powodem? zapytał Karol.

— Bóg jeden wie! odrzekł Adam; czasem myślę że coś psuje mi się wewnątrz, ale nie mów o tem nic Róży. Trapiłaby się nieustannie, co zwłaszcza teraz, bardzo mogłoby jej zaszkodzić.

— Mam nadzieję że to nic groźnego i samo przejdzie powoli. Strach pomyśléć co mogłoby nastąpić, gdyby zaszła niezbędna potrzeba sprowadzenia doktora,

(*D. c. n.*)



Pl. 502.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.